



CAROLE BUCK

Iskierki



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Porucznik Jackson Stuart Miller był spięty i zgrzany.

Nic nowego. Jackson przepracował już czternaście lat jako strażak. Zgrzanie i zmęczenie od zawsze towarzyszyły pracy pożarnika, która w przypadku Jacksona, należała do tradycji rodzinnej. Millerowie gasili pożary w okolicach Atlanty w stanie Georgia, a także w samym mieście, odkąd praprapradziadek Jacksona wstąpił do służby w roku 1870.

Żar... Był akurat upalny, czerwcowy wieczór, a Jackson spędził minioną godzinę, walcząc z ogniem, wydzielającym piekielne ilości ciepła. Brał udział w akcji gaśniczej, dźwigając na sobie ponad czterdzieści funtów odzieży ochronnej - długi do kolan płaszcz oraz niepalne spodnie, rękawice i buty, nie wspominając o hełmie ani o kolejnych czterdziestu funtach aparatu tlenowego. Nie istniał na świecie specyfik zdolny powstrzymać strugi jego potu.

Nie wynaleziono także lekarstwa na niepokój Jacksona. Nie uratowali tego budynku. Takie porażki Jackson bardzo przeżywał. Zawsze tak było i, jak sądził, zawsze tak będzie.

Oczywiście, cieszył się, że nikt nie został ranny ani zabity. Ale mimo to Jackson wiedział, że ludzie stracili w ogniu dorobek swojego życia. Nieważne, że większość mieszkańców wykupiła polisy

ubezpieczeniowe. Jackson rozumiał, że są rzeczy, których nie da się wycenić. Ani zastąpić.

Ogień strawił większą część niewielkiego bloku mieszkalnego, zajmowanego przez bezdzietnych, ambitnych ludzi sukcesu, lubujących się w wysokich pokojach, sufitach z eleganckimi sztukateriami oraz parkietach z rzadkich gatunków drewna. To było czwarte wezwanie podczas tej zmiany. Właśnie siadali do kolacji, i tak już mocno spóźnionej. Ogień zdążył się rozprzestrzenić, zanim przybyli na miejsce. Innymi słowy, płonęła większa część trzypiętrowej konstrukcji.

Jako dowódca pierwszej zmiany, Jackson postępował zgodnie z procedurą i meldował o wszystkim dowodzącemu akcją kapitanowi. Pierwotne rozkazy brzmiały: założyć maski, podnieść drabiny, doprowadzić węże do budynku i skierować strumienie wody prosto w płomienie.

Jackson wkroczył do środka, w gęsty niczym woal dym. Zewsząd spadały płonące belki. Natychmiast wciągnął głowę między ramiona. Bał się. Naprawdę zaczął się mocno bać.

Jego ojciec zginął przed dwudziestu laty, walcząc z pożarem w budynku o identycznej konstrukcji. Kapitan Nathan Miller znajdował się wewnątrz, obsługując wąż strażacki, gdy cały szkielet domu zawalił się bez ostrzeżenia. Strażak nie miał najmniejszych szans.

Jackson wiedział, oczywiście, że na służbie można zginąć lub doznać wielu obrażeń. Sam cztery lata temu oberwał śrutem poniżej pleców, gdy gasili pozornie „łatwy” ogień w małym domku. Ale

koszmary miewał tylko na temat zawałających się sufitów. Poziom adrenaliny podskoczył mu maksymalnie.

Pamiętał lata, kiedy gardziłby sobą za odczuwanie strachu. Na szczęście wiele się nauczył od czasów młodości pełnej brawury. A jedną z najważniejszych lekcji było, że strach - tak jak drabina, hak czy wąż strażacki - może być nieocenionym narzędziem. Chodzi tylko o to, by bać się mądrze... a mądry strażak zwykle ratuje więcej ludzi i sprzętów niż strażak dzielny i głupi.

W końcu taktyka ofensywna, nakazana przez kapitana, stała się zbyt niebezpieczna. Musieli się wycofać. Opuścili budynek i zabrali się do gaszenia płonącego domu z zewnątrz. „Otoczyć i zalać”, tak lakonicznie nazywano tę strategię.

Jackson wypił łyk wody mineralnej z manierki i przyjrzał się zrujnowanemu domostwu. Nadciągała noc.

Napił się jeszcze raz i przekazał manierkę czarnoskóremu strażakowi. Był to Ralph „Szafa” Randall. Potężnie zbudowany, wąsaty, Szafa należał do tej samej drużyny. Miał tubalny, przejmująco basowy głos. Co niedzielę śpiewał pieśni gospel; w kościele, jeśli miał wolne, lub na posterunku, gdy był na służbie. I nikt lepiej od niego nie władał toporkiem.

- Dzięki, stary - powiedział Szafa, biorąc manierkę. Opróżnił ją duszkiem.

- Może przyssiesz się do jakiegoś węża - zaproponował Jackson. Przywykł do górowania nad tłumem, bo mierzył przecież sześć stóp przy stu dziewięćdziesięciu funtach mięśni i kości. Ale przy Szafie

Jackson czuł się jak chuchro. Z wyjątkiem tych chwil, gdy byli razem w akcji. Szafa był doskonałym strażakiem, i to nie tylko z racji niecodziennego wzrostu i muskulatury. Jackson dosłownie gotów był powierzyć Szafie swoje życie.

- Zapomnij o ssaniu - Szafa machnął ręką. - Jak znajdziesz mi jakiś wąż, to zacznę go gryźć.

- Taki jesteś głodny?

- Kiszki grają mi marsza. Czy my kiedyś zjemy kolację? Jackson odsunął hełm na tył głowy. Otarł czoło.

- Może po wakacjach?

- To chyba już piąte wezwanie z rzędu?

- Tak...

Szafa westchnął głęboko.

- Przynajmniej tym razem to był prawdziwy ogień. Jak strace posiłek z powodu pożaru, to mi nie żal. Ale te beznadziejne fałszywe alarmy. Albo ten żaloszny przypalony garnek w zeszłą sobotę. Chłopie, wystarczyłoby splunąć i po pożarze. A jaki smród! Mówię ci, na dwa dni tym przesiąkłem. Jej rodzinka miała szczęście, inaczej wszyscy trafiliby do szpitala z poważnym zatruciem pokarmowym.

- A my pewnie dostalibyśmy wezwanie na 911.

- O tak - Szafa skrzywił się. - A właśnie, słyszałeś o wezwaniu 911 na zmianie B dwa dni temu?

- Do gołego pijaka, który widział małe zielone ludziki i różowe słońce?

- Tak, właśnie. Ale ja myślałem, że ludziki były różowe, a słonie zielone. - Czarnoskóry strażak potrząsnął głową. - Rany, pod 911 trzeba dzwonić w sprawie zagrożeń!

- No, ale ktoś...

Jackson zamilkł gwałtownie, porażony dziwnym uczuciem. Sekundę później usłyszał głos. Miękki i drżący, z odległości kilku stóp.

- Nie! - jęknęła kobieta. - Och... Dobry Boże... Nie...

Jackson obrócił się, sztywniejąc. Mógłby przysiąc, że poczuł zapach kwiatów, a przecież regułą było, że bezpośrednio po ugaszeniu pożaru nie czuł nic oprócz dymu. A tutaj nagle ogarnął go ulotny aromat.

Drżący głos należał do wysokiej, wiotkiej rudowłosej kobiety w wieku około trzydziestu lat. Jej twarz była biała jak kreda, delikatne rysy napięte. Wpatrywała się w pogorzelisko wzrokiem pełnym rozpacz.

Jackson przez krótki, straszliwy moment bał się, że stracili nie tylko budynek. O Boże! pomyślał. Tam w środku ktoś został!

Kobieta uniosła trzęsące się dłonie - bez pierścionków - do szczupłej szyi. Kręciła głową, a jej usta poruszały się bezgłośnie.

Jackson podszedł do wiotkiej damy, powoli, aby jej nie przestraszyć. Pierwszych obrażeń podczas wykonywania swoich obowiązków doznał od kobiety, której mąż zginął w pożarze. Dostała hysterii i chciała wbiec do płonącego domu. Powstrzymał ją. Rzuciła

się na niego z pięściami, straciła hełm i walnęła prosto w twarz.

Złamała mu nos.

- Proszę pani... - zaczął cichym, kojącym głosem. Nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na spalony budynek i potrząsała głową. Chyba była w szoku.

- Proszę pani... - powtórzył Jackson, nieco głośniejszym głosem. - Czy pani tu mieszka? - postąpił ostrożnie w jej stronę. Kątem oka dostrzegł, że Szafa się wycofał. Jackson wiedział, dlaczego. Smutna prawda była taka, że wielu ludzi czuło się nieswojo z racji gigantycznych rozmiarów Ralpa Randalla i jego koloru skóry.

Po chwili rudowłosa kobieta odwróciła wzrok od zwęglonego budynku. Jackson poczuł coś dziwnego. Miał oto nagłe, instynktowne uczucie, że zna tę kobietę. Ale to było niemożliwe. Mógłby przysiąc na Biblię, że widzi ją po raz pierwszy w życiu.

- Proszę pani... - zagadnął raz jeszcze. Serce gwałtowniej zabiło w jego piersi. W zapadającym wieczornym zmroku jej oczy, założyłyby się, były zielone. Głęboka, chłodna zieleń, może z iskierkami złota.

- Czy... czy komuś coś się stało? - zapytała. Jackson potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani. Nic nam o tym nie wiadomo. Wygląda na to, że wszyscy wydostali się bez szwanku.

- Ach - kiwnęła głową. - To do-dobrze.

Kiwnęła głową jeszcze raz. A potem jej spojrzenie wróciło do pogorzeliśka.

- Proszę pani...

- Moje rzeczy - wyszeptała. - Wszystkie moje rzeczy - zachwiała się, a jej oczy zamglily się z wolna. - Wszystkie... wszystkie... się...

Jackson wielkim susem pokonał dzielącą ich przestrzeń, chwytając rudowłosa, gdy osunęła się zemdlna na ziemię. Drugą ręką ujął ją pod kolana i podniósł, przytulając do piersi. Subtelna woń kwiatów znów podrażniła jego nozdrza. Znów odczuł nieodparte wrażenie, że zna tę osobę. Głowa kobiety osunęła się na jego ramię. Kilka pasemek ognistorudych włosów połaskotało go w szczękę. Poczul się nagle odpowiedzialny za tę istotę. I jeszcze... Odczuł coś głębszego, mroczniejszego i o wiele bardziej niebezpiecznego.

Jackson był sceptyczny, jeśli chodzi o przeznaczenie i tym podobne rzeczy. Jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kobieta, którą trzymał w ramionach, miała zostać...

- Ej, chłopie, wszystko w porządku?

Jackson przeniósł wzrok z bladej kobiecej twarzy na ciemne oblicze Szafy. Wzrok mocno zaniepokojonego przyjaciela sprawił, że Jackson poczuł się niepewnie.

- Tak - odrzekł, starając się panować nad swoją mimiką. Szafa był mu bardzo bliski, ale to, co czuł teraz, było osobiste. Bardzo osobiste. - W porządku.

Oczywiście kłamał. Nic nie było w porządku. Zupełnie nie. Porucznik Jackson Stuart Miller był rozgrzany i spięty. Był to ten rodzaj gorąca i napięcia, który nie miał nic wspólnego z udziałem w akcji.

Powietrze we wnętrzu klimatyzowanego samochodu było chłodne, z doskonałej jakości głośników rozbrzmiewała spokojna muzyka. Doktor Febe Irene Donovan, nowo zatrudniona w głównym szpitalu psychiatrycznym w Atlancie, jechała do domu po ciężkim dniu pracy.

Chociaż praca naprawdę podobała się Febe - bardziej niż mogłaby sobie wymarzyć - okazała się także ogromnie stresująca. Febe przydzielono ogromną liczbę pacjentów i jeszcze więcej papierkowej roboty. To, łagodnie mówiąc, czasami ją przytłaczało.

No i jeszcze ciągnęła presja, aby zdobyć uznanie współpracowników. Febe zdawała sobie sprawę, że nadal w ich mniemaniu jest na okresie próbnym. Oceniano ją i jako lekarza, i jako osobę prywatną - przez cały czas, w każdej sytuacji; tej ocenie podlegało wszystko, począwszy od intelektu, kończąc na wyglądzie zewnętrznym.

Trudno jej było przewidzieć, jak to jeszcze długo potrwa. Febe wyczuwała, że jak do tej pory udało jej się wzbudzić całkiem spory respekt, ale jednocześnie wiedziała, iż wiek oraz płeć, a nawet fakt, że przyjechała z Północy, działały na jej niekorzyść. Gdyby nie była trzydziestotrzyletnią samotną kobietą z Bostonu, nie miałyby raczej problemów z odnalezieniem się w szpitalnym świątku.

Światła zmieniły się; z zielonych na żółte. Docisnęła hamulce, zatrzymując wóz. Czerwone światło. Vivaldi ustąpił miejsca Bachowi.

- Dzięki Bogu, że już piątek - mruknęła, rozkoszując się wizją weekendu. Nic do roboty, ostatnią rzecz związaną z przeprowadzką

załatwiła dziś rano. Nic nie powstrzyma jej przed ugrzeźnięciem na dwa dni na kanapie.

Nic z wyjątkiem jej natury.

- Czy ty kiedykolwiek odpoczywasz? - zapytał dawno temu Alan Brinkley, mężczyzna złożony do grobu w dniu, który miał być dniem ich ślubu.

- Właściwie nie - odparła - to mnie tak... męczy.

Febe uśmiechnęła się blado, wspominając, jak Alan, uho-norowany tytułem profesora Harvardu w wieku lat trzydziestu, wybuchnął śmiechem, słysząc jej odpowiedź. Wiele razy później przypominali sobie te słowa niczym dobry dowcip. Wcale to Febe nie przeszkadzało, bo wiedziała, że Alan szczerze podziwia jej zdyscyplinowanie. Nikt nigdy nie radował się tak z jej osiągnięć. Z wyjątkiem jej ojca, doktora Lyle'a Donovana.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Powrócił dobrze znajomy, codzienny smutek.

Lyle Donovan i Alan Brinkley. Ojciec i narzeczonny. Obaj odeszli...

Dźwięk klaksonu wyrwał ją z rozmyślań. Otworzyła oczy. Światła zmieniły się z czerwonych na zielone. Wcisnęła pedał gazu i jej samochód ruszył do przodu.

Zastanowiła się, co będzie robić od piątku do poniedziałku. Najrozsądniej będzie chyba po prostu rozejrzeć się po Atlancie. Musi lepiej poznać to miasto. Jak dotąd, zlokalizowała to, co

najpotrzebniejsze - dobrze zaopatrzony supermarket, porządną pralnię chemiczną, księgarnię i tak dalej. Ale poza tym...

Wreszcie dotarła do ocienionej drzewami ulicy, na której teraz mieszkała. Zwolniła trochę, przyglądając się dzieciom i domowym zwierzętom. Ostatnie promienie słońca zniknęły pospiesznie. Niedługo zrobi się ciemno.

Ulica zakręcała ostro tuż przed jej budynkiem. Widok, jaki ujrzała, wyjeżdżając zza zakrętu, zaparł Febe dech w piersiach.

Wozy strażackie! Jeden, drugi, trzeci. Dobry Boże! Parkowały tuż przed jej blokiem! Nie widziała jeszcze samego trzypiętrowego budynku, który stał dość daleko od ulicy, zasłonięty kępą wiązów. Ale Febe już wiedziała, co się stało.

„Wiedziała” tak samo, jak wiedziała w nocy, obudzona dzwonkiem telefonu, wyrwana ze snu o ślubie, który miał nastąpić już za cztery dni. „Wiedziała” tak samo, jak wiedziała tego popołudnia, gdy patrzyła, jak jej ojciec nagle łapie się za serce i pada na kort tenisowy.

Nie, modliła się w duchu. O nie, błagam...

Zaparkowała przy chodniku, wyłączyła silnik i zaciągnęła ręczny hamulec. Odblokowała pas drżącymi palcami i wygramoliła się na zewnątrz.

- O Boże - wyszeptała, gdy rzuciła okiem na to, co zostało z miejsca, które od kwietnia nazywała swoim domem. Ścisnęło ją w żołądku, a w gardle urosła kula. Zrobiło jej się niedobrze. Ale za

chwilę nudności ustąpiły miejsca okropnemu zubożeniu. Ruszyła przed siebie. Musiała zobaczyć, co się stało.

Podszedłszy bliżej, natknęła się na dwóch strażaków w hełmach i ciężkich kombinezonach ochronnych. Jeden był biały, wysoki i barczysty. Drugi czarny, olbrzymi, po prostu kolos. Można było zgadnąć, że tych dwóch łączy nie tylko praca, ale i przyjaźń. Febe podeszła do nich.

Zamarła w miejscu. Rano opuszczała dom o solidnej, porządnej konstrukcji, a wróciła do czegoś na kształt strzaskanej skorupy.

- Nie - wyjąkała drżącym głosem. - Och... Dobry Boże... Nie...

To było zaprzeczenie. Ewidentne. Febe widziała tę reakcję u zbyt wielu pacjentów, żeby nie miała rozpoznać jej u siebie. Ale nie powstrzymało jej to od próby odrzucenia rzeczywistości.

Straciła już obydwu najbliższych i najdroższych ludzi. A teraz...

Książki jej ojca. Mały, ale skrzętnie wybrany zbiór pierwszych edycji książek, w których ukrywała się esencja kochającego i uczonego człowieka. Zniszczone.

Zdjęcia i listy Alana. Namacalny dowód ich wspólnej czułości i oddania. Uleciały z dymem. Nic jej nie pozostało. Nic!

- Proszę pani...

Jeden ze strażaków zagadnął ją ostrożnie. Miętko, troskliwie, z domieszką cechującej południowego dżentelmena galanterii. Nie odpowiedziała. Patrzyła ciągle na dymiące zgliszcza i kręciła głową.

- Proszę pani... - ten sam męski głos, już bardziej natarczywy. - Czy pani tu mieszka?

Pytanie zabrzmiało okrutnie. Jak ktokolwiek mógłby teraz tu mieszkać?

O Boże! A co z pozostałymi? Z innymi lokatorami?

Przeniosła wzrok ze zgliszcz na zatroskanego strażaka.

Przechyliła głowę w tył.

- Proszę pani... - powtórzył strażak. Tym razem głos brzmiał inaczej. Głębiej. Niemal szorstko. Tak jakby mężczyzna był... poruszony.

Febe uczyniła defensywny gest dłonią. Przełknęła z trudem, kilka razy, oblizwała wargi. Nie mogła zebrać myśli. Coś się z nią działo. Coś, co wykraczało poza zwyczajny szok.

- Czy... czy komuś coś się stało? - spytała wreszcie. Strażak potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani. Nic nam o tym nie wiadomo. Wygląda na to, że wszyscy wydostali się bez szwanku.

- Ach - kiwnęła głową. - To do-dobrze.

Kiwnęła jeszcze raz. Jakby nie mogła przestać. Oddech miała nieregularny, jej serce waliło jak oszalałe. Wróciła spojrzeniem do zrujnowanego doszczętnie budynku. Miała ochotę się rozplakać.

- Proszę pani... - głos zdawał się dobiegać jakby z bardzo daleka.

- Moje rzeczy - wyszeptała. - Wszystkie moje rzeczy...

Świat zaczął się zamazywać i chwiać w posadach. Próbowwała zachować równowagę, ale kolana zmieniały się w galarete.

- Wszystkie... wszystkie... się...

Cały świat odpłynął w niebyt, gdy doktor Febe Irene Donovan po raz pierwszy w życiu zemdląa.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Gratulacje! - zagrzmiął tryskający energią męski głos.

- Dodzwonięś się pod numer 555-2378. W tej chwili jestem niedostępny. Jeśli poprawnie odpowiesz na trzy pytania, w nagrodę zadzwonię do ciebie osobiście!

Febe miała ochotę trzasnąć słuchawką. Czy w ten piątek nikt w Atlancie nie odbierał telefonów? Przez ostatni kwadrans nie udało jej się dodzwonić do nikogo!

- A teraz - mówił dalej radosny głos - pytanie pierwsze: jak się nazywasz? Pytanie drugie; o co chodzi? Pytanie trzecie: jaki jest twój numer? Poczekaj na sygnał albo cię zdyskwalifikuję. Powodzenia!

Febe potarła skronie. Nie była w nastroju do rozmowy z automatyczną sekretarką, a już zwłaszcza nie z taką. Ale ogłoszenie w rubryce „Mieszkania do wynajęcia” wyglądało obiecująco. Uparła się, żeby znaleźć nowe lokum jak najszybciej. Tydzień spędzony w motelu dał jej się mocno we znaki.

- Tu doktor Febe Donovan - powiedziała, czując się trochę jak jeden ze słynnych psów Pawłowa. Tyle że zamiast ślinić się na dźwięk dzwonka, wyrecytowała swoje nazwisko.

- Dzwonię w sprawie ogłoszenia o wynajmie mieszkania. Chciałabym obejrzeć lokal w sobotę albo w niedzielę, jeśli to możliwe. Nie mam obecnie stałego numeru telefonu, więc zadzwonię jeszcze raz. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i zerknęła na zegarek. Ostatnia pozycja w jej tygodniowym rozkładzie zajęć, grupowa terapia dla kilkunastu uzależnionych nastolatków, zaczynała się za dwadzieścia minut. Uznała, że zdąży zadzwonić w jeszcze jedno miejsce. Przebiegła wzrokiem kolumnę ogłoszeń w „Atlanta Journal”, odszukując te, które pospiesznie zakreśliła dziś rano.

„Przytulne mieszkanko” w pobliżu uniwersytetu. Hmm... „Przytulne” bywa zwykle eufemizmem dla określenia „ciasne”, ale cena jest atrakcyjna. I okolica, według znajomych z pracy, bardzo miła.

Zamyśliła się przez chwilę. W ostatnim tygodniu wiele pomogli jej koledzy. Zupełnie tego nie oczekiwała. Właściwie nawet nie miała zamiaru wspominać w pracy o swoim nieszczęściu, ale jej agent ubezpieczeniowy miał na ten temat odmienne zdanie. Dzwonił do gabinetu Febe w poniedziałek rano, zanim dotarła do pracy, i zostawił wiadomość, używając słów „pożar” i „straty”.

Na pytania kolegów odpowiadała zgodnie z prawdą, ale nie do końca. Z jakiegoś powodu sama niezbyt wiedziała, dlaczego

postanowiła przemilczeć zarówno swoje nieoczekiwane omdlenie, jak i interwencję strażaka, który ją podtrzymał, zanim upadła na ziemię jak worek kartofli.

No cóż, właściwie tylko zakładała, że ją podtrzymał. Kiedy doszła do siebie, leżała na masce wozu bojowego, a koło niej krządał się młodziutki, piegowaty medyk. W pobliżu nie było ani jej barczystego ratownika, ani jego olbrzymiego czarnego kumpla. Mogła zapytać medyka o swojego wybawcę, ale tego nie zrobiła. Uczucie, którego nie umiała - lub nie chciała - zdefiniować, kazało jej się powstrzymać. Nie zapytała również strażaka-ankietera, który wypytywał ją o pożar i o straty materialne, jakie poniosła w jego następstwie.

Westchnęła. Powinna była zdobyć jego nazwisko, powtarzała to sobie z milion razy. A jak już by je poznała, powinna faceta wytropić i podziękować za okazane współczucie!

Więc czemu tego nie zrobiła?

Dobre pytanie! W sam raz do analizy dla Zygmunta Freuda.

Była zupełnie wytrącona z równowagi. A instynkt jej podpowiadał, że wspomniany strażak, pomimo nienaganych manier mieszkańca Południa, raczej nie pomógłby jej w odzyskaniu spokoju ducha.

A poza tym...

Poza tym czuła się zażenowana własnym omdleniem, które znamionowało słabość. Była lekarzem, na miłość boską! Absolwentką jednej z najbardziej renomowanych szkół medycznych w całym kraju.

Bywała w salach operacyjnych i nie powinna mdleć jak heroiny wiktoriańskich romansów!

Potrząsnęła głową. Dość autoanalizy, postanowiła. Trzeba pozostawić tamte zdarzenia za sobą i żyć dalej. A co do jej anonimowego rycerza w przeciwpożarowej zbroi... no cóż, to było raczej jednorazowe spotkanie. Nawet gdyby ich ścieżki jeszcze raz się skrzyżowały, pewnie by go nawet nie poznała. Przecież tak naprawdę wcale nie widziała tego faceta.

Zauważyła, że był wysoki, opalony i dobrze zbudowany? Tak.

Była świadoma, że roztaczał aurę męskiej siły i pewności? Jasne.

Ale czy „widziała” go w tym sensie, żeby móc później opisać albo przywołać w pamięci jego obraz? Nie, zdecydowanie nie!

Wzdychając ponownie, Febe skupiła się na ogłoszeniach. A więc tak! Szukała czegoś w pobliżu metra. Bez konieczności długich dojazdów. Czegoś nie za dużego. Nie za nowoczesnego. I nie takiego, w którym sąsiadami byłiby rozrywkowi osobnicy nie pozostający w stałych związkach.

Zwróciła uwagę na lokal opisany jako „przewiewny, dobrze utrzymany” i „w pobliżu Inman Park”. Znała trochę te okolice.

Przewiewny? Podobało jej się to określenie. O ile nie oznaczało to na przykład dziury w dachu. Dobrze utrzymany. Ładnie brzmiało, sugerowało pewną dumę z posiadanej własności. I było bardziej wiarygodne, niż zwrot „w idealnym stanie” powtarzający się w co trzecim ogłoszeniu. Sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer. Może

tym razem się uda? Może wreszcie usłyszysz głos żywej osoby, a nie bezdusznej maszyny?

Sygnał połączenia. Dzwonek. Drugi, trzeci.

- Halo?

Słodki, miękki głos. Dojrzały niż u dziecka, ale jeszcze nie w pełni kobiecy. Febe spodziewała się automatycznej sekretarki, więc nie odpowiedziała od razu.

- Halo? - w głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Tomku Purdy, jeśli to znowu ty...

Febe chrząknęła.

- Halo - powiedziała spokojnie. - Nazywam się Donovan. Doktor Febe Donovan.

- O! - Rozległ się zawstydzony chichot. - Przepraszam. Wie pani, jest taki chłopak u mnie w szkole. Wydaje mu się, że mnie kocha i ciągle wydzwaniał, żeby usłyszeć, jak mówię „halo”. Ale sam nigdy nic nie mówi. To bardzo nieładnie, tak uważam. Pewnie, mogło być gorzej. Mógłby sapać jak jakiś zboczeniec. Keith Lowell zrobił tak Betty Simpson parę miesięcy temu. Ale teraz ze sobą chodzą, więc chyba wszystko się dobrze skończyło. Gdyby Tomek sapał, pewnie musiałabym powiedzieć tacie. A Bóg jeden wie, co tata by zrobił.

Tata dziwnie się zachowuje, odkąd zaczęłam dojrzewać. Czasem mnie to martwi. A ja za rok kończę szesnaście lat. Chyba zgodzi się, żebym dostała prawo jazdy, ale jak zacznę się umawiać z chłopakami...

Febe przygryzła wargę gdzieś w połowie tej zajmującej tyrody. Problemy nastolatka, bez względu na to jak zabawnie przedstawiane, winny być traktowane z szacunkiem.

- Dla wielu ojców dojrzewanie córek jest trudnym wyzwaniem - skomentowała po chwili, wpadając w neutralny ton, jaki często przyjmowała na sesjach terapeutycznych. - Trudno im pogodzić się z faktem, że ich mała córeczka staje się niezależną kobietą.

Zapadła chwila ciszy, a potem dziewczyna powtórzyła ostatnie słowa Febe:

- Niezależną kobietą! - Powtórzyła to niczym tytuł honorowy. - Właśnie taką chcę być.

- Założę się, że gdzieś tam w głębi duszy twój ojciec też tego dla ciebie chce.

- Ja wiem, że tak - odpowiedziała dziewczyna. - Tata bardzo szanuje ludzi, którzy stoją pewnie na własnych nogach. Zawsze mi mówi: „Lauralee, możesz być kim tylko sobie postanowisz”. I on naprawdę tak myśli.

Febe uwierzyła.

- To wspaniała postawa - zauważyła. - Mój ojciec mówił podobnie.

- To super! A kim chciała pani być? To pytanie ją zaskoczyło.

- Ach... Ja... A...

- O Boże! - wykrzyknęła Lauralee, wyraźnie zażenowana. - Pewnie myśli pani, że jestem okropna. Na pewno dzwoni pani w jakiejś ważnej sprawie. A zanim zdążyła pani coś powiedzieć, ja

zaczęłam nudzić panią moimi problemami i jeszcze drażnić pani osobiste sprawy. A nawet się nie przedstawiłam! Jestem Lauralee Miller. Wiem, że pani mi się przedstawiała, ale nie zapamiętałam...

- Donovan - Febe odzyskiwała rezon. - Febe Donovan.

- Nie powiedziała pani wcześniej „doktor”?

Febe zawahała się, czując dziwną niechęć do ujawniania tytułu naukowego.

- Tak, powiedziałam - przyznała po sekundzie czy dwóch. - Jestem psychiatrą.

- O!

Febe skrzywiła się, słysząc nagły niepokój w głosie dziewczyny.

- Nie denerwuj się, Lauralee - rzekła szybko. - Nie zaczynaj też roztrząsać wszystkiego, co przed chwilą mówiłaś i zastanawiać się, czy nie brzmiało to nienormalnie.

Lauralee sapnęła.

- Skąd pani...?

- Bo inni ciągle tak robią.

- To znaczy, ludzie zawsze się denerwują, gdy dowiadują się, kim pani jest?

- Większość tak.

- To musi być trudne.

- Bywa.

- Bardzo przepraszam. Po prostu mnie pani zaskoczyła.

Nastąpiła chwila milczenia. Wreszcie, z nutką rozbawienia, Lauralee zapytała:

- A to, co mówiłam, brzmiało nienormalnie czy nie? Febe zaśmiała się.

- To brzmiało zupełnie normalnie.

- Nawet to o moim tacie?

- To akurat było dość szczególne. Powiedziałabym, że ty i twój ojciec jesteście w bardzo dobrych stosunkach.

- Tak, proszę pani. Rozumiemy się! - Nagłe rozrzewnienie wyraźnie zabrzmiało w głosie dziewczyny. - Pewnie on martwi się o mnie za bardzo, bo mamy tylko siebie.

- Pewnie tak - Febe zwalczyła chęć zapytania, co stało się z matką. Zaczekała chwilę i zmieniła temat.

- A ja dzwonię w sprawie ogłoszenia, które...

- Aha, w sprawie mieszkania?

- Tak, właśnie.

- Super! Wie pani, chcemy wynająć część naszego domu. Tata przerobił ją po tym, jak... No, bo nie potrzebujemy takiej dużej przestrzeni. Mieszkanie jest bardzo fajne, będzie pani miała osobne wejście i swobodę.

- Dobrze wiedzieć. Rozumiem, że to wciąż aktualne?

- Pewnie. Będzie pani chciała przyjechać i obejrzeć mieszkanie?

Zastanowiła się. Nie bardzo podobała się jej ta „część naszego domu”. Ale podobało jej się sąsiedztwo Inman Park, no i czynsz był rozsądny. Powinna obejrzeć to lokum.

- Oczywiście - powiedziała. - Czy jutro rano, między dziesiątą a dwunastą, będzie wam odpowiadać?

- W porządku.
- Na pewno? Może twój ojciec...
- Teraz bierze prysznic. Ale wiem, że jutro rano będzie mu pasować.
- Dobrze. A co do adresu...
- Już! - Lauralee wyrecytowała wszystkie dane. - Wie pani, gdzie to jest?
- Nie, niezupełnie.
- A skąd będzie pani jechała?
- Z centrum.
- Aha. No to najpierw wjedzie pani na Peachtree. A potem...
- Street czy Road? - przerwała jej Febe.
- Co?
- Peachtree Street czy Peachtree Road?
- Oj! - Lauralee potrzebowała chwili, żeby zastanowić się nad odpowiedzią. - Peachtree Street. A więc najpierw pojedzie pani Peachtree Street...

Gdy dziewczyna skończyła podawać instrukcje, Febe czuła się tak, jakby oprowadzono ją krok po kroku po całej okolicy Inman Park.

- Dziękuję, Lauralee - rzekła, spoglądając na zegarek.
- Najwyższy czas kończyć i iść do pracy.
- Proszę bardzo. Zadzwoń pani, jeśli się pani zgubi?
 - Na pewno - obiecała Febe. - Do zobaczenia jutro rano.

Duma i szczęście Jacksona Millera odwieszała właśnie słuchawkę. Wycierając włosy ręcznikiem, Jackson wszedł do wielkiej, kremowo-żółtej kuchni. Cały ranek i większość popołudnia pracował na podwórzu. Gorący prysznic i zmiana ubrania zrobiły ze spoconego wieprza cywilizowaną istotę ludzką. Następny na liście był zimny drink.

- Hej, skarbie - powiedział, odsuwając od siebie pokusę, by spytać córkę, z kim rozmawiała. Jeśli ktoś dzwonił do niego, sama mu powie. A jeśli nie...

Jeśli nie, to pewnie zachowałyby to dla siebie, a on gryzłby się z niepokoju. Ale nie miał zamiaru jej wypytywać. Pomimo pokusy.

Zastanowił się, czy Tomek Purdy zdobył się wreszcie na odwagę, by otworzyć usta i odpowiedzieć na któreś „halo” Lauralee. Oczywiście, wcale nie powinien wiedzieć o specyficznych zalotach Purdy'ego. Ale odkrył, co się dzieje, kilka tygodni temu, gdy podniósł słuchawkę w sypialni w tej samej chwili, gdy Lauralee odebrała telefon w kuchni. Jego pierwsza reakcja, mieszanina gniewu i rozbawienia, szybko ustąpiła miejsca podziwowi dla sposobu, w jaki Lauralee radziła sobie z sytuacją - i pewnemu współczuciu dla jej amanta...

- Cześć, tato - Lauralee obróciła się. W wielkich, niebieskich oczach lśniło podniecenie. Uśmiechała się. Druty aparatu na jej zębach błyszczały w świetle wpadającym przez kuchenne okna.

- Zgadnij, z kim rozmawiałam przez telefon? Jackson otworzył lodówkę. Miał ochotę na mrożoną herbatę, ale może lepiej napije się piwa.

- Z kim?

- To była osoba zainteresowana wynajęciem mieszkania.

Jackson odetchnął z ulgą. Jak tak dalej pójdzie, umrze z nadmiaru stresów, zanim Lauralee osiągnie pełnoletność.

Pełnoletność? O, Boże! Nie chciał nawet o tym myśleć.

Nie znalazł piwa w lodówce. Trochę zirytowany, wziął puszkę wody sodowej. Wyprostował się i zwrócił twarzą ku córce.

- Potencjalny lokator?

Lauralee skinęła głową, krótkie blond loki zatańczyły wokół trójkątnej buźki.

- Aha! Ta pani nazywa się Donovan.

Jackson omal nie upuścił puszkę z wodą sodową. Nie, pomyślał. To niemożliwe!

Ta szczupła, rudowłosa dama. Ta, która pachniała kwiatami i która zemdląca w jego ramionach. Nazywała się Donovan. Doktor Febe Donovan. Niedawno przyjechała do Atlanty, była psychiatrą. Wiedział to wszystko, bo odszukał człowieka, który zbierał dane od mieszkańców na temat pożaru. Wypytał go o rudowłosą kobietę. Zgodziłby się, że to niezbyt profesjonalne działanie. Ale musiał się czegoś o niej dowiedzieć. Jej wspomnienie tak silnie go nawiedzało, że musiał dowiedzieć się, kim ona jest.

- Tato? - Lauralee zapytała dziwnym głosem.

- Przepraszam, skarbie - odparł odruchowo. Otworzył puszkę. -
Mówiłaś, że nazywa się Donovan?

- Tak. Febe Donovan. Jest psychiatrą.

Jackson uniósł puszkę do ust i wypił duszkiem ćwierć litra sztucznie słodzonej jej zawartości. To cud, że się nie Zakrztusił.

- Zapytała, czy nie mogłaby przyjść jutro między dziesiątą a dwunastą. Powiedziałam, że może. - Lauralee zamilkła, podnosząc brew. - Dobrze powiedziałam, tato?

Jackson uczynił gest puszką.

- Nie mogło być lepiej.

Bardzo chętnie zobaczy znów doktor Donovan, stwierdził. Bo drugie spotkanie na pewno nie może wyzwolić w nim reakcji, jakiej doznał, jak mu się wydawało, przy pierwszym. Ta pierwsza reakcja była taka... no, sam nie wiedział, jaka. Ale sądził, że przyczyną było odwodnienie i adrenalina, a nie co innego. No więc dobrze! Zobaczy się z tą panią raz jeszcze. Uściśnie liliowobiałą rączkę i powie „Miło mi panią poznać”, a potem ją oprowadzi po mieszkaniu. Jeśli zdecyduje się na wynajęcie, to wspaniale. Jeśli nie, świat się nie zawali.

- Bardzo miło nam się rozmawiało. Ciekawa jestem, jak ona wygląda.

- Ma rude włosy - wygadał się Jackson i zaraz pożałował, że nie ugryzł się w język. Z niewiadomego powodu wolałby, żeby Lauralee nie wiedziała o jego pierwszym kontakcie z Febe Donovan.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Lauralee zmarszczyła nosek.

- Nie, nie wydaje mi się.

Jackson zorientował się nie od razu, że córka uznała jego odpowiedź za zgadywanie.

- Nie?

- Nie. Nie wysławiała się jak rudzielec.

- A jak mówią rudzielce, skarbie?

- Nie wiem, właściwie. Ale nie tak, jak pani Donovan. Myślę, że jest brunetką. Z krótkimi włosami, jak moje, tylko jakoś inaczej ułożonymi.

Jackson potrząsnął głową.

- Długie, rude włosy. Córka przyjrzała mu się.

- Chcesz się założyć?

- Zależy o co.

- Jeśli masz rację, upiekę ci ciasto brzoskwińowe - zaproponowała. - A jeśli ja odgadnę, to przez tydzień zmywasz naczynia.

Jackson napił się ponownie wody z puszki, udając, że się zastanawia.

- W porządku. Umowa stoi - rzekł po chwili. Lauralee błysnęła odratowanymi zębami, pewna zwycięstwa. A potem spytała:

- A oczy pani Donovan?

- Założę się o wysoką sumę, że ma ich dwoje.

- Tato! - zachichotała. - Miałam na myśli, jakiego są koloru.

- Aha. A myślałem, że łatwo wygram. Kolor oczu doktor Donovan? Ach.... zielone. Zielone, może ze złotymi kropkami.

- Wykluczone. Brązowe. Na pewno brązowe.

- Chcesz się założyć jeszcze raz? - zapytał Jackson. Oczywiście, nie miał zamiaru egzekwować wygranej, ale zabawnie było się podroczyć z córką.

Im bardziej dorastała, tym trudniej mu to przychodziło. Minęły już czasy, kiedy porozumiewanie się między nimi było łatwe i bezproblemowe. Teraz już nie. Lauralee przechodziła trudny okres dojrzewania, więc nauczył się zważać na każde słowo, zanim je wypowiedział. Jej uczucia było tak łatwo zranić.

- Dwa ciasta brzoskwińowe przeciwko dwóm tygodniom zmywania?

- Stoi.

Nastała cisza. W końcu Lauralee spytała:

- A co, jeśli ona okaże się niebieskooką blondynką? Jackson dopił wodę i zgniół puszkę w dłoni.

- Wtedy wszystkie zakłady unieważnimy.

ROZDZIAŁ TRZECI

Febe zaparkowała przed domem Millerów na krótko przed jedenastą. Zanim jeszcze wysiadła z samochodu, już niemal zakochała się w tym miejscu. Dom był okazały, dwupiętrowy, pomalowany na biało, z kilkoma wymyślnymi zdobieniami w kolorze piernika i z

niebieskimi obramowaniami wokół okien. Starannie utrzymany trawnik okrywał cień rozłożystych drzew. Liście szeleściły w słabym, czerwcowym wietrzyku, gałęzie obsypane były pachnącym kwieciem.

Kwiaty rosły również po obu stronach podjazdu dla samochodów. Stał tam czerwony pick-up. Mężczyzna o ciemnoblonde włosach splukiwał właśnie samochód węzem ogrodowym. Niewątpliwie był to ojciec Lauralee Miller. Widok mężczyzny wywołał u Febe dużo bardziej skomplikowane emocje, niż wygląd samego domu.

Mężczyzna był wysoki, o wzroście powyżej sześciu stóp. Szeroki w ramionach. Wspaniale umięśniony. O długich, mocnych nogach. Jeśli miał na sobie choć gram tłuszczu, nie było tego widać.

Był opalony. Opalenizną tego rodzaju, jakiej nabywa się skutkiem długiej, ciężkiej pracy na powietrzu. I miał na sobie tylko luźne, sprane dżinsy z uciętymi nogawkami. Nic więcej.

Stał tyłem do ulicy, pogwizdując melodyjnie przy pracy. Chyba jej nie zauważył. Gdy zbliżyła się do niego na jakieś kilka kroków, pochylił się, kierując strumień wody na podwozie.

Doktor Donovan nigdy nie udawała niewrażliwej na urok przystojnych mężczyzn. Tym niemniej szczyła się tym, że u płci przeciwnej przedkładała zalety umysłu nad wygląd zewnętrzny. Ale kiedy ujrzała, jak luźne dżinsy zrobiły się nagle obcisłe...

Może wydała jakiś dźwięk, a może wiatr się zmienił i poniósł ku niemu zapach jej perfum. A może gapiała się tak strasznie, że mężczyzna wyczuł na sobie jej wzrok. Cokolwiek się stało, blondyn

nagle wyprostował się i odwrócił, o mało nie oblewając jej wodą. Szkoda, w pewnym sensie. Chyba przydałby jej się chłodny prysznic.

Febe odkryła, że oprócz krótkich dzinsów miał na sobie lustrzane ciemne okulary w drucianych oprawkach.

- Przepraszam - odezwał się, kierując wąż w inną stronę i zakręcił wodę.

- Nic się nie stało - Febe zwalczyła chęć przyglądzenia włosów czy poprawienia stroju. Rozzłościło ją to. Przecież osobniki jednej płci stroją się dla osobników płci przeciwnej, aby zasygnalizować zauroczenie.

Odczekała chwileczkę, by mężczyzna powiedział coś więcej. Ale nie powiedział. Po prostu stał i patrzył na nią. W każdym razie sądziła, że na nią patrzy, bo nie mogła być tego całkiem pewna, widząc tylko nieprzeniknione lusterka okularów. Uniosła głowę.

- Pan Miller? - spytała w końcu. Coś niepokojącego było w tym facecie. Coś, co nie miało nic wspólnego z emanującą z niego męskością. Wydawał jej się znajomy. Ale pewna była, że nigdy wcześniej go nie widziała.

- Tak, proszę pani - miał niezbyt donośny głos, ale brzmiący zdecydowanie. Przeszło jej przez myśl, że mógł kiedyś służyć w wojsku. Na pewno miał zdolności przywódcze. - A pani jest...

- Doktor Donovan - dobiegł zniecierpliwiony, młody głos. Febe drgnęła i obróciła się ku domowi. Na progu ukazała się blondyneczka w niebieskich dzinsach i różowej koszulce. Była drobna i bardzo urocza na sposób bajkowego Dzwoneczka z *Piotrusia Pana*.

Miała niemal lalkowatą, wzorcową amerykańską urodę, za jaką Febe oddałaby wszystko w latach swego kłopotliwego dorostania.

- Doktor Donovan? - powtórzyła dziewczyna, zatrzymując się. Febe skinęła głową, świadoma, że jest obiektem uważnej obserwacji.

- Ty pewnie jesteś Lauralee?

- Tak - Lauralee uśmiechnęła się, ukazując kłamry na zębach, a potem zerknęła na ojca i stwierdziła z zabawną rezygnacją:

- Pewnie spodziewasz się dziś na deser ciasta brzoskwi-
niowego...

Zaskoczona tą dziwną uwagą, Febe spojrzała na ojca Lauralee, spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia. Nie doczekała się.

- Pogadamy o tym później, skarbie - powiedział do córki. - Może byś teraz pokazała doktor Donovan mieszkanie? Jak skończę pracę, umyję się i dołączę do was - przeniósł uwagę na Febe i spytał: - Nie ma pani nic przeciwko temu?

- W porządku, panie Miller - zgodziła się cicho. Wciąż ciekawiła ją sprawa brzoskwinowego ciasta.

Ojciec Lauralee uśmiechnął się nagle. Uśmiech odkrył przed Febe kilka rzeczy. Między innymi głębokie dołeczki po obu stronach zmysłowych ust oraz szczerbę w przednim górnym zębie. Ładnie wyglądał z tymi dołeczkami. Przydawały trochę chłopięcości jego szczupłej twarzy o wyrazistych rysach. Wyszczerbiony ząb pasował jakoś do lekko skrzywionego nosa. Nigdy nie widziała tego uśmiechu, bo na pewno by go zapamiętała!

- Jackson - poprawił. - Proszę do mnie mówić po prostu Jackson.

Wnętrze domu Millerów od razu spodobało się Febe jeszcze bardziej niż otoczenie. Mieszkanie nie tylko miało wszystkie wymienione w ogłoszeniu zalety, ale nawet kilka innych.

- Podoba się pani? - spytała Lauralee z rozbijającą bezpośredniością, gdy już skończyły oglądanie.

- Bardzo - odparła szczerze.

- Kuchnia nie jest za mała?

- Rzadko gotuję. - W rzeczywistości Febe w ogóle nie umiała gotować. Alan żartował sobie kiedyś, że jedyne, co potrafiła zrobić na obiad, to rezerwacje.

- Szkoda, że nie ma więcej miejsca na rzeczy - westchnęła dziewczyna, wracając do tematu po raz kolejny. Po zaprezentowaniu wszystkich zalet mieszkania, z równym zapalem zaczęła omawiać to, co uważała za jego wady. Za najgorsze uważała brak przestrzeni na ruchomości.

- To nie jest duży problem - odparła Febe. Nawet przed pożarem nie miała za dużo rzeczy w szafach. A teraz...

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani ten skrzypiący kawałek podłogi w korytarzu? Tata mówi, że nie da się tego naprawić. Trzeba by zrywać całą podłogę. Po naszej stronie jest to samo.

- Nawet nie zwróciłam na to uwagi - odparła Febe i uśmiechnęła się do Lauralee. - Wychowałam się w domu, gdzie skrzypiały wszystkie podłogi i każde drzwi.

- Na północy? - Ciekawość Lauralee dorównywała jej szczerości.

- Tak. W Bostonie.

- Pani rodzina dalej tam mieszka? Coś ścisnęło Febe za gardło.

- Ja właściwie nie mam rodziny, Lauralee.

- Nie...?

- Nie. Jestem jedynaczką. Moi rodzice nie żyją, a żadne nie miało rodzeństwa. Więc... - Febe uczyniła nieokreślony gest ręką - ...nie mam rodziny.

W błękitnych oczach Lauralee widniał żal i zaskoczenie.

- To okropne - powiedziała. - Nie straciła pani chyba obojga naraz? Mamy i taty?

- Moja mama zginęła, gdy miałam osiemnaście lat. W wypadku samochodowym - Febe nie uznała za stosowne wspomnieć, że, jak dla niej, matka nie istniała już na wiele lat przed wypadkiem. Irene Donovan porzuciła męża i dziecko, jak tylko Febe poszła do szkoły. Nigdy nie wróciła. Nawet o jej śmierci dowiedzieli się tylko przypadkiem. - Tata zmarł cztery lata temu, na zawał serca.

Lauralee milczała prawie przez pół minuty.

- Moja mama zmarła, jak miałam siedem lat - powiedziała w końcu. Zająknęła się trochę. - Miała raka.

- Przykro mi, Lauralee.

- Dziękuję - dziewczyna zagryzła wargę, zastanawiając się nad czymś. Wreszcie zwierzyła się - Długo myślałam, że to przeze mnie. Że musiałam zrobić coś złego... Wie pani?

- Tak - potwierdziła cicho Febe - wiem.

- A potem zaczęłam mieć jej za złe. To, że umarła. Że zostawiła mnie i tatę.

- To normalna reakcja w tej sytuacji - zapewniła ją Febe. Dobry Boże, kiedy tylko myślała o złości, jaką czuła do ojca. I do Alana. Żal, jaki czuła po ich śmierci, przerodził się we wściekłość. Oczywiście, z czasem wściekłość minęła. Ale zanim doszła do siebie...

Nigdy więcej! pomyślała. Nigdy więcej nie zaryzykuje podobnego cierpienia. Podobnej wściekłości. Zbyt wiele ją to kosztowało.

Lauralee skinęła głową i jasne loki zatańczyły na jej czole.

- Powiedziałam w końcu tacie - wyznała - o tym, że byłam wściekła na mamę. A on powiedział, że to nic złego. Że czasem on też był na nią zły. I że jakoś sobie z tym poradzimy. Z gniewem, ze smutkiem i ze wszystkim. I chyba nam się udało - dodała i uśmiechnęła się niepewnie. Jej oczy błyszczały. - Dobrze sobie radzimy.

Febe odwzajemniła jej uśmiech.

- Powiedziałabym, że nawet lepiej niż dobrze.

- A więc - rzekł Jackson kilka minut później. Wręczył Febe oszronioną szklanekę z mrożoną herbatą. - Czy ma pani jakieś pytania, na które mógłbym odpowiedzieć?

Febe napiła się świeżo przyrządzonego napoju i rozejrzała po słonecznej kuchni. Zastanowiła się, czy ma jakieś pytania.

Tak. Miała jedno. Ale raczej nie zada go w najbliższym czasie.
Co Jackson Miller ma takiego w sobie?

Podobał jej się dom tego mężczyzny. Nawet bardzo. Jeszcze bardziej spodobała się Febe jego córka. Ale co do niego samego...

Zdażył włożyć na siebie białą koszulkę z krótkimi rękawami, która nie ukrywała wcale potężnej klatki piersiowej, ale nadawała mu wygląd bardziej... Hm, „cywilizowany” to nie było chyba najlepsze słowo, ale mniej więcej o to chodziło. No i zdjął ciemne okulary. Miał błękitne oczy. Jasnobłękitne, z delikatną siateczką linii odchodzących od zewnętrznych ich kąców. Oczy żywo kontrastowały z ogorzałą od słońca skórą. I zdradzały chyba wszystko, co się w duszy tego mężczyzny kryło.

- Nie, raczej nie - powiedziała, odstawiając zimną szklanekę na drewniany stolik. Jackson zajął miejsce naprzeciwko. Przyjrzała mu się. Opierał się wygodnie i obserwował ją spod zmrużonych powiek. - Lauralee powiedziała mi wszystko, co chciałabym wiedzieć.

- Pani chce wynająć mieszkanie, tato - oświadczyła Lauralee z satysfakcją. Przycupnęła na ladzie kuchennej, sącząc jakiś napój i machając nogami. Jackson uniósł brew. Trudno było powiedzieć, czy z zadowoleniem, czy z niechęcią.

- To prawda?

- Tak - potwierdziła Febe po krótkim wahaniu. On wie, jakie wywiera na niej wrażenie, zorientowała się nagle. Wie i nie jest pewien, co z tym zrobić. Bo ona wywiera wrażenie na...

- Kiedy pani chce się wprowadzić? - spytała Lauralee, zaburzając jej tok myślenia.

Febe obróciła się na krześle.

- Tata pracuje jutro, w środę i w przyszłą sobotę, więc to chyba nie są najlepsze dni. Zwłaszcza jeśli trzeba by było jakiejś pomocy przy wnoszeniu rzeczy... - Lauralee urwała i popatrzyła na ojca. - Tato, a może Szafa pomógłby pani Donovan?

- O, na pewno! - odparł Jackson, ale jakimś dziwnym tonem. Febe zastanowiła się dlaczego. Czy ten „Szafa” był kością niezgody między ojcem i córką? Następne słowa Lauralee niczego nie wyjaśniły:

- Szafa pracuje z tatą na tej samej zmianie. To znaczy, że też będzie zajęty jutro, w środę i w następną sobotę. Ale prawie każdy dzień...

- Miło, że chcesz mi pomóc, Lauralee - przerwała łagodnie Febe - ale ja mam bardzo mało rzeczy. Jeśli chodzi o meble, to będę kompletowała je od zera.

- Tak? - nastolatka była zaskoczona. Kątem oka Febe dostrzegła, że Jackson jest zdenerwowany.

- Tak - potwierdziła. - Szukam nowego mieszkania dlatego, że spalił się dom, w którym mieszkałam. Straciłam niemal wszystko.

- Ojej, to straszne! - przejęła się Lauralee. - Kiedy to było?

- W piątek, tydzień temu.

- Tutaj, w Atlancie?

Febe podała adres bez specjalnego zastanowienia. Ku jej zdumieniu, Lauralee sapnęła, orientując się w sytuacji.

- Widziałam ten pożar w telewizji! - Spojrzała na ojca, marszcząc czoło. - Tato, ty chyba mówiłeś, że to wy jechaliście do tego wezwania?

Wzrok Febe pomknął ku Jacksonowi. Nagle wszystko znalazło się na swoim miejscu. Uświadomiła sobie, dlaczego jej potencjalny gospodarz wydawał się tak niepokojąco znajomy.

Strażak! Dobry Boże! Ten strażak!

- To był pan - powiedziała nieswoim głosem. - Był pan tam. To pan...

- Momencik - wtrąciła się Lauralee - Tato, pani Donovan, czy wy się wcześniej znaliście?

- Właściwie to nie - szybko odpowiedział ojciec - widzieliśmy się tylko...

- Ty oszuście! - wykrzyknęła Lauralee. Zeskoczyła z lady i podbiegła do ojca. - Oszukałeś mnie!

- Ależ, skarbie...

- Nigdy nie upiekę ci brzoskwiniowego ciasta, tato! Nigdy! A jak powiem babci Miller, to ona też nigdy ci nie upiecze!

- Ależ ja nie miałem zamiaru egzekwować wygranej, Lauralee!

- Ha! - dziewczyna założyła ręce na piersi i wysoko zadarła głowę. Zapadła niezręczna cisza.

- Czy może mi ktoś wyjaśnić, o co chodzi? Lauralee miała ogromną ochotę opowiedzieć o perfidii ojca.

- Pamięta pani naszą wczorajszą rozmowę? - zaczęła. Febe skinęła głową. - Potem mówiłam tacie, że ma pani miły głos i zastanawiałam się, jak pani wygląda. Tata powiedział, że ma pani długie rude włosy i zielone oczy. Ja na to, że nie, że na pewno krótkie brązowe włosy i brązowe oczy. I założyliśmy się. Jeśli tata miałby rację, upiekłabym mu dwa brzoskwiniowe ciasta, jedno za oczy, drugie za włosy. A jeśli ja bym wygrała, to tata zmywałby naczynia przez dwa tygodnie.

- Aha... rozumiem.

- Ale teraz wiem, że oszukiwał, bo już panią wcześniej widział.

Febe spojrzała na Jacksona. Jednego elementu brakowało w opowieści dziewczyny.

- Skąd pan wiedział, kim jestem?

Jackson, wyraźnie zażenowany, potarł kark prawą dłonią. Nie powtórzył prośby, żeby mówiła do niego po imieniu.

- Pamięta pani rozmowę ze strażakiem po odzyskaniu przytomności? - zapytał.

- Przytomności? - powtórzyła przerażona Lauralee. - Czy coś się pani stało?

- Tylko zemdlałam. Gdy gasili pożar, nie było mnie w domu. Ale bardzo się przejęłam, jak zobaczyłam pogorzelisko i... i zemdlałam. Twój tato mnie przytrzymał. A przynajmniej - napotkała wzrok Jacksona - wydaje mi się, że mnie przytrzymał.

- Przytrzymałem - potwierdził lakonicznie. - Ale wracając do pytania. Czy pamięta pani...?

- Tak, pamiętam, że rozmawiałam z jakimś strażakiem
- odparła z niecierpliwością. - Powiedział, że spisuje informacje dla potrzeb... - Zamilkła nagle, gdy uświadomiła sobie wszystko. - Pan dostał moje nazwisko od niego!

Jackson skinął głową.

- Ale po co?

Jackson milczał przez jakiś czas z dziwnym wyrazem twarzy.

- Chciałem się upewnić, że wszystko z panią w porządku

- odrzekł w końcu.

- Mógł pan poczekać i sam się przekonać - zauważyła. Dziwne.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo zawiedziona się czuła jego nagłym zniknięciem.

- Nie - potrząsnął głową. - Nie mogłem. Dostaliśmy wezwanie do następnego pożaru, minutę po tym, jak pani zemdląca. Więc zostawiłem panią w rękach medyków.

Febe zwilżyła wargi, czując się niewypowiedzianie głupio.

- Nie wiedziałam.

Jackson patrzył jej przez chwilę w oczy, zanim znów zwrócił się do córki. Febe zauważyła, że Lauralee porzuciła już pozę zagniewanej, urażonej osoby.

- Przepraszam, że cię nabrałem - cicho powiedział Jackson. - Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Lauralee mierzyła go wzrokiem przez kilka sekund, zanim wypaliła:

- To było bardzo nieładne, tato.

- Zgadzam się w zupełności - przyznał. - Cóż mogę powiedzieć?
Jestem słaby i ułomny, gdy idzie o twoje brzoskwiniowe ciasto.

Lauralee westchnęła, ale Febe widziała, że komplement sprawił dziewczynie przyjemność.

- A co, jeżeli będę za karę zmywał przez następne dwa tygodnie?

- Przez trzy tygodnie!

- Jesteś bezlitosna - Jackson uniósł brwi.

- Owszem!

Milczał przez chwilę, po czym poddał się:

- W porządku. Umowa stoi.

Córka uśmiechnęła się szeroko. Nastąpiła kolejna pauza, o wiele przyjemniejsza niż poprzednia. Febe nie miała ochoty burzyć nastroju chwili, ale musiała się czegoś dowiedzieć.

- Panie Miller...

Jackson zerknął na nią badawczo.

- Tak?

- Czemu mi pan nie powiedział, kim pan jest, jeszcze na podwórzu?

Wzruszył ramionami. Muskuły zagrały pod cienkim materiałem koszulki.

- Bo mnie pani nie rozpoznała. Uznałem, że nie ma sensu przywoływać tego, co się dawniej wydarzyło.

- Może chciałabym panu podziękować za to, co pan zrobił?

- To należało do moich obowiązków, proszę pani. Stwierdzenie, proste i szczere, wypowiedziane z głęboką dumą, zawisło w powietrzu. A potem jego znaczenie spadło na Febe jak żelazna pięść.

To należało do moich obowiązków, proszę pani.

Jego obowiązkiem było gaszenie pożarów. W artykule o stresie związanym z pracą zawodową, który niedawno czytała, napisano, że zawód strażaka jest najbardziej stresogenny i niebezpieczny. Jackson ryzykował własne życie, żeby ocalić cudze. Wbiegał do płonących budynków, kiedy inni rozsądni ludzie z nich uciekali. W tym zawodzie łatwo o wypadek. Łatwo stracić życie...

Nieokreślone uczucie przeniknęło Febe do głębi. Wzięła głęboki haust powietrza, próbując się opanować.

- Wolałabym, żeby nie mówił pan do mnie „proszę pani”, panie Miller - rzuciła.

- A ja bym wolał, doktor Donovan, żeby nie mówiła pani do mnie „panie Miller” - brzmiała odpowiedź.

Przez dłuższą chwilę zaglądała w jego niebieskie oczy. Poczuli się lekko zbita z tropu. Gdzieś w głębi umysłu odezwał się głos mówiący, że właśnie popełnia straszliwy błąd.

- Mam na imię Febe... Jacksonie - powiedziała w końcu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Minęło wpół do ósmej, był piękny niedzielny poranek. Jackson Miller przed chwilą wrócił do domu. Odczekał trochę, nim wysiadł z samochodu. Przyczyna jego opieszałości uprawiała właśnie jogging na ścieżce dojazdowej.

- Dzień dobry, Febe - powiedział.

- Cześć, Jackson - odpowiedziała lekko zdyszana. Zatrzymała się kilka kroków od niego. Policzki miała zaczerwienione, czoło usiane kropelkami potu. Żywy blask lśnił w zielonych oczach.

Płomiennorude włosy ściągnęła w koński ogon, dzięki czemu wyglądała bardziej na studentkę niż na dyplomowanego lekarza.

- Nie wiedziałem, że biegasz.

Nic dziwnego, że nie wiedział, skoro mieszkała pod jego dachem niecałe czterdzieści osiem godzin.

- Weszło mi to w zwyczaj jeszcze na studiach. - Otarła czoło wierzchem dłoni. Ten ruch sprawił, że niewielkie piersi wyprężyły się prowokacyjnie pod przeupoconą koszulką. - Pozwala mi odreagować i utrzymać formę.

Jackson skinął głową, zmuszając się, by nie spuszczać wzroku za nisko. Napatrzył się już na jej „formę”, kiedy mijał Febe samochodem. Miała świetną figurę. Jak mógłby tego nie zauważyć? Przecież trzymał ją w ramionach. Jeżeli facet trzyma kobietę, nie może nie... hmm... wyczuć, jak jest zbudowana. Ale mimo to, kiedy wyjechał z za rogu i zobaczył biegnącą swoją lokatorkę, poczuł, jak coś go elektryzuje. Wystarczyło spojrzeć na sylwetkę w białych szortach...

- Nieźle biegasz - zauważył.

Nie kłamał. Biegła z doskonałym wyczuciem rytmu i wrodzoną gracją. Nie mógł się powstrzymać od zgadywania, czy te same zalety dotyczą innych rodzajów jej fizycznej aktywności.

Oczy Febe rozszerzyły się. Nie odpowiedziała mu od razu. Odniósł wrażenie, że właśnie rozważa jego wypowiedź w poszukiwaniu ukrytych znaczeń. Pewnie taki był efekt uboczny jej przeszkolenia zawodowego. Ale równie dobrze mogła po prostu zauważyć, że gdy tylko znajdowała się blisko niego, czuł się jak napalony nastolatek.

Dlaczego tak się czuł, jeszcze nie potrafił powiedzieć. Właściwie nie gustował w rudowłosych kobietach. I zawsze wolał babki solidnie zbudowane, krągłe i milusie, a nie smukłe, długonogie intelektualistki.

- Dziękuję - rzekła po chwili milczenia, najwyraźniej uniewinniając go z zarzutu przekazywania ukrytych podtekstów. - A ty biegasz?

- W college'u byłem reprezentantem szkoły w biegach przełajowych.

Dostrzegł na jej twarzy tajemniczy wyraz. Zdziwienie? Dziwiła się, że chodził do college'u? Zirykowało go to przypuszczenie. Nie lubił, jak ktokolwiek przypinał mu etykietkę niewykształconego osiłka.

- Zwykle biegam parę mil w dni wolne od pracy.

- Wracasz teraz z dyżuru?

- Tak.

Straż pożarna w Atlancie pracowała w rotacyjnym systemie zmianowym. Strażacy mieli dwudziestoczerogodzinną służbę, potem czterdzieści osiem godzin wolnego. Miał teraz spokój do siódmej rano we wtorek.

- Byłeś zajęty?

Jackson wzruszył ramionami.

- Było raczej spokojnie. Zwłaszcza jak na sobotę.

- Mówisz tak, jakbyś był rozczarowany.

Jakoś dziwnie to powiedziała. Niemal potępiająco.

- Poniekąd - przyznał uczciwie. Nie życzył nikomu nieszczęścia, ale nie lubił nudnych zmian. - Kiedy za długo siedzę beczynnie na posterunku, czuję się zbędny.

Uniosła brwi.

- Nawet po sześciu odznaczeniach za bohaterstwo?

- A skąd ty... - zaczął, ale od razu odgadł, kim jest winowajczyni. - Lauralee.

Febe skinęła głową.

- Wpadła wczoraj wieczorem. Mówiła, że jedzie na noc do twojej matki, a chciała po drodze zobaczyć, jak się urządziłam.

Jackson westchnął. Postanowił uciąć sobie małą pogawędkę z córką.

- Niech zgadnę. I zagadała cię na śmierć.

- No cóż... - Febe była raczej rozbawiona, niż zła.

- Nie powinna ci przeszkadzać.

- Ależ wcale mi nie przeszkadzała - odparła natychmiast. -
Bardzo dobrze wymyśliła, jak mogłabym ustawić meble, które
wypożyczyłam. I wcale mi nie przeszkadza jej towarzystwo,
Jacksonie. Naprawdę.

I uśmiechnęła się do niego, naprawdę do niego, po raz pierwszy,
odkąd się znali.

To był bardzo kobiecy uśmiech. Kobiecy, ale wcale nie zalotny.
Jako gorąco krwisty syn Południa, krainy trzepoczących rzesami
piękności, Jackson znał kokieteryę we wszystkich jej formach. Nie
dostrzegł jej u Febe. Ale łuk różowych ust sugerował słodkie sekrety...
Poczuł się podenerwowany.

Przypomniał sobie czasy licealne, gdy dziewczęta chichotały z
koleżankami, ukradkiem na niego spoglądając. Oczywiście, doktor
Donovan nie była chichoczącą nastolatką, ale kim była, tego jeszcze
nie wiedział.

Może powinien wziąć się do odkrywania tajemnicy.

- Zjesz ze mną śniadanie? - zaproponował pod wpływem
naglego impulsu. Zaproszenie chyba ją zaskoczyło. Jego też, zresztą.

- Ale ja... - wskazała na swoje ubranie - tak nie mogę.

- Niekoniecznie zaraz. - Jak już ją zaprosił, to nie będzie się
wycofywał. - Weź prysznic i przebierz się, a potem przyjdź.

Zastanowiła się w podobny sposób jak wtedy, kiedy po raz
pierwszy zwróciła się doń po imieniu.

- Jestem dobrym kucharzem - zachęcił ją. Wybuchnęła
śmiechem.

- No, to przynajmniej jest nim jedno z nas!

Jackson odczekał, widząc, że sytuacja rozwija się w sposób dla niego korzystny.

- A więc? Wpadniesz do mnie na śniadanie?

Znow zawahała się. Wyczuł moment, w którym podjęła decyzję - wyprostowała plecy i uniosła głowę.

- Tak. Przyjdę.

Jackson otworzył drzwi, zanim Febe zdążyła zapukać.

- Szybko się uwinęłaś - stwierdził, zapraszając ją gestem do środka. Przesunął po niej spojrzeniem.

Febe przestąpiła próg, opierając się chęci poprawienia włosów i ubrania. Nie miała z czego wybierać w szafie. Jak dotąd, odkupiła sobie ubranie do pracy, ale jeszcze nie zabrała się do kompletowania strojów domowych.

- Nie chciałam, żebyś długo czekał - zauważyła, że zmienił ciemnoniebieski mundur na luźną koszulkę z logo Atlanta Olympics i obcisłe dżinsy.

Jackson zrobił zdziwioną minę.

- Myślałem do tej pory, że jednym z powodów, dla których Bóg stworzył kobiety, było to, żeby kazały mężczyznom czekać.

Przez mgnienie oka Febe myślała, że mówił poważnie. A potem dostrzegła przekorny błysk w błękitnych oczach i zorientowała się, że dała się nabrać. Poczowała dziwny, przyjemny dreszczyk.

- Lauralee też tak mówisz? - odgryzła się. Jackson wyszczerzył zęby.

- Żeby nazwała mnie męską szowinistyczną świnia? Albo, jeszcze gorzej. Żeby powtórzyła mojej mamie? Nie, droga pani. Nie ma mowy.

Febe roześmiała się.

- Chętnie poznałabym twoją matkę - stwierdziła, przypominając sobie, co Lauralee mówiła o babci Miller zeszłego wieczoru. Jackson spoważniał i zamyślił się. Ponownie zlustrował ją wzrokiem. Febe zastanowiła się, co też on widzi, kiedy na nią patrzy. Niebieskie oczy niczego konkretnego nie zdradzały, ale nagle bardzo intensywnie uświadomiła sobie własną kobiecość.

- Myślę, że ona też chętnie cię pozna - rzekł Jackson po chwili.

Nastąpiła cisza. Jako specjalista od związków międzyludzkich, Febe wiedziała, że przerwy w rozmowach bywają bardzo znaczące. Ale tym razem nie miała ochoty na analizę. Po paru sekundach niezręcznego milczenia pociągnęła nosem i powiedziała:

- Mmm! Coś smakowicie pachnie. Uśmiezek wrócił na twarz Jacksona.

- Biskopt - oznajmił i kiwnął głową w głąb mieszkania.

- Chodźmy do kuchni.

Po drodze trzeba było przejść przez długi korytarz. Na kremowych ścianach wisiały czarno-białe fotografie, przedstawiające przodków Jacksona. Wszyscy mężczyźni byli strażakami. Każdy w mniej lub bardziej zabytkowym stroju pożarniczym...

Jackson zatrzymał się przed portretem surowo wyglądającej damy po pięćdziesiątce. Srebrzyste włosy były nienagannie upięte, twarz idealnie upudrowana.

- To moja matka - powiedział. Febe przechyliła głowę, przyglądając się zdjęciu. Ta dama miała w sobie coś... coś wzbudzającego pokorny szacunek.

- Jej prapradziad ze strony matki służył pod generałem Stonewallem Jacksonem.

- Dlatego masz na imię...?

- Tak, psze pani.

Obok było jeszcze jedno zdjęcie, naturalne, nie upozowane. Widniała na nim promieniejąca uśmiechem, śliczna blondynka, bawiąca się z małą dziewczynką, takim jasnowłosym duszkiem. Widać było, że bardzo się kochają. Coś ścisnęło Febe za gardło.

- To mama Lauralee? - spytała. Jackson skinął głową.

- Miała na imię Anne. Przez „e”. Koniecznie przez „e”

- powiedział głosem pełnym czułości, ale i z nutką humoru. Febe przypomniała sobie, jak Lauralee opowiadała o bezsilnym gniewie swojego ojca. Odetchnęła z ulgą, widząc, że sobie z tym poradził.

- Pochodziła z Atlanty?

- Nie. Z Baltimore. W college'u dzieliłem pokój z jej bratem.

- Zapoznał was ze sobą? Jackson zachichotał.

- Nie, bynajmniej! Steve wyłaził ze skóry, żeby tylko trzymać siostrzyczkę z dala ode mnie.

- No więc jak...?

- Powiedzmy, że w im gorszym świetle mnie przedstawiał, tym bardziej Anne była mną zainteresowana.

- A byłeś bardzo niedobry?

- Zdarzyło się podczas studiów parę rzeczy, o których nigdy nie opowiem mamie. Ale w końcu uzyskałem dyplom.

- A jakiej specjalności?

- Inżynieria, z kursem zarządzania. Pobraliśmy się zaraz po moim dyplomie i osiedliśmy w Atlancie. Miałem stałą, dobrą pracę. A potem któregoś dnia wpadłem na przyjaciela mojego ojca.

Wspomniał, że będzie znów nabór do straży. Wcześniej był dość długi zastój. No i kumpel ojca namówił mnie, bym się zgłosił. Przeszedłem przez testy. Zapisali mnie na szkolenie. Wiele razy dyskutowałam z Anne na ten temat. W końcu powiedziała, że jeżeli mam do końca życia żałować, bo nie spróbowałem, to lepiej niech już będzie tak, jak chcę.

- I spróbowałeś.

- Tak - zamilkł, patrząc na fotografię ojca. Febe już wiedziała od Lauralee, że ojciec Jacksona zginął na służbie. - A po czternastu latach...

Zamilkł, gdy z kuchni zagwizdał czajnik. Machnął ręką.

- Czas na śniadanie.

Parę godzin później wciąż „jedli śniadanie”, gdy nagle zadzwonił telefon. Krzywiąc się z niechęcią, Jackson wstał, by odebrać.

- Halo? - rzekł do słuchawki.

- O! - mruknął i głos mu złagodniał. - Dzień dobry, skarbie.

Febe też wstała i zaczęła odnosić naczynia do zlewu. Spojrzała na zegarek. Niemożliwe! Było już po jedenastej!

Jak to się stało? myślała zdumiona. Zdawało jej się, że nie minęło więcej niż pół godziny. A jednak poruszyli bardzo wiele tematów, nie zgadzając się zupełnie w niektórych i odkrywając, że zgadzają się w bardzo wielu innych.

- Lauralee cię pozdrawia - powiedział Jackson. Febe otrząsnęła się, spojrzała na Jacksona. Właśnie odłożył słuchawkę. I uśmiechał się.

- Febe? - Uśmiech Jacksona zbladł powoli, jego brwi się zmarszczyły. - W porządku?

- Oj, tak - kiwnęła głową. - Tylko właśnie zorientowałam się, która jest godzina. Przepraszam, nie myślałam, że siedzę już tu tak długo. Jest prawie wpół do dwunastej.

Zbliżył się ku niej.

- No i?

- No i pewnie masz mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Ani jednej - odparł z uśmiechem, wyjmując Febe z rąk szklanki do soku. Jego palce musnęły jej palce. Kontakt był krótki i raczej przypadkowy, ale wywołał dreszcz, gdzieś w głębi duszy Febe.

Gdyby była skłonna do rumieńców, jak większość rudzielców o białej karnacji, na pewno zapłonęłyby się jak piwonia. Drażniące ciepło polechtało koniuszki nerwów tuż pod skórą. Odchrząknęła.

- Ale ja mam wiele spraw do załatwienia, więc muszę biec - rzekła przyglądając włosy. Głos miała pewny, bez drżenia. Z dłonią było trochę gorzej.

- Rozumiem - Jackson odstawił szklanki. Przyglądał jej się przez moment w milczeniu, po czym rzekł swobodnym tonem:

- Jeśli już mowa o bieganiu...

- Tak? - Febe wzięła się w garść.

- Nie miałabyś nic przeciwko mojemu towarzystwu następnym razem?

- Ach - potrząsnęła głową. - Nie.

- Nie?

- Nie mam nic przeciwko temu - uściśliła. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy w ciągu tych kilku sekund zmniejszyła się przestrzeń między nimi?

- Może jutro rano?

Nie od razu przypomniała sobie, jaki nazajutrz wypadał dzień tygodnia. Bliskość Jacksona - ewidentnie przybliżył się do niej! - poważnie ją rozpraszała.

- Jutro rano - powtórzyła. - Poniedziałek. Dobrze, ale wcześniej. Muszę wyjść do szpitala przed ósmą trzydzieści.

- Nie ma sprawy. Wstaję z kurami. O szóstej? Przed domem?

Febe skinęła głową:

- Jesteśmy umówieni.

Lauralee umoczyła w ketchupie ostatnią frytkę.

- Ile miałaś lat, jak poszłaś na pierwszą randkę?

Febe uśmiechnęła się do dziewczyny, która w ciągu trzech tygodni stała się omalże wymarzoną młodszą siostrą, jakiej nigdy nie miała. Siedziały w restauracji, w największym hipermarkecie w Atlancie, odpoczywając po długich zakupach.

- Osiemnaście.

Frytka wylądowała na blacie z mokrym plaśnięciem.

- Osiemnaście? Miałaś restryktywnych rodziców czy jak?

Febe roześmiała się. Co jakiś czas Lauralee wtrącała wyrażenia zaczerpnięte najpewniej z programów młodzieżowych telewizji.

- „Czy jak” - powtórzyła. - Wcześniej nikt mnie nie zapraszał.

Zdziwiona Lauralee zmarszczyła nosek.

- Same dziewczyny były w twojej szkole? Jak w zakonie?

- Nie, to była szkoła koedukacyjna.

- No to chłopaki z twojej szkoły musiały mieć nierówno pod sufitem.

- Raczej żaden nie palił się, żeby chodzić z przerośniętym, patykowatym rudzielcem, który nie wychylał nosa zza książek.

Według standardów nastolatków Febe była podpierającą ściany oferłą. Odludkiem. Dziwaczką. Nieśmiałą. Ponad swój wiek rozwiniętą intelektualnie, ale społecznie nieprzystosowaną.

Lauralee skrzywiła się.

- Chłopcy są tacy niedojrzali.

- Ale ja średnio się nadawałam na materiał na randki - przyznała Febe. - I wiedziałam o tym. Oddałabym wtedy wszystko, żeby wyglądać tak jak ty.

To miał być komplement, ale Lauralee zareagowała na niego, wzdychając ponuro.

- Mówisz, że chciałaś być... ładna?

- Tak, chyba tak - Febe zaczęła się zastanawiać, dlaczego dziewczyna tak nie lubiła tego słowa. - Nie podoba ci się, że jesteś ładna?

Kolejne ciężkie westchnienie.

- No, nie chciałabym być brzydka. Tylko, że... pamiętasz naszą pierwszą rozmowę przez telefon? Wątpię, żeby dało się jednocześnie być ładną i niezależną. A ja bardzo chcę być niezależną kobietą.

Uśmiech zagrał w kącikach ust Febe, ale powściągnęła go. Przypomniała sobie nagle fragment tej pierwszej rozmowy.

- Lauralee - powiedziała - możesz być, kim tylko sobie postanowisz.

Niebieskie oczy dziewczyny otwały się szerzej. Zachichotała.

- Powiedzieć ci coś fajnego? - spytała po chwili.

- Pewnie - Febe skinęła na przechodzącego kelnera.

- Gdy byłaś młodsza, chciałaś wyglądać tak jak ja, zgadza się?

No a ja, jak już przestanę być ładniutka, chcę wyglądać jak ty. Ty jesteś elegancka.

- O, dziękuję, Lauralee.

- Nie ma za co. J nie obraziłabym się, jakbym była trochę egzotyczna. Jak Keezia Carew.

Febe miała wielu nastoletnich pacjentów i starała się wiedzieć, co jest modne, a co nie na scenie młodzieżowej. Ale nazwisko podane przez Lauralee z niczym jej się nie kojarzyło.

- Kto taki? - spytała w końcu.

- Keezia Carew. Pracuje razem z tatą.

Febe doświadczyła nieznanego i raczej nieprzyjemnego uczucia.

- Jest strażakiem?

Lauralee skinęła głową, w jej oczach malował się podziw.

- Keezia jest naprawdę niezależną kobietą.

Niedługo później ukoronowały swoją wyprawę na zakupy.

Febe przygotowała zawczasu długą listę i systematycznie ją realizowała. Lauralee była pod wrażeniem - „tak jak Babcia Miller”, zauważyła, lecz jasne było, że nastolatka preferuje bardziej spontaniczny sposób wydawania pieniędzy.

- Och, Febe! Popatrz! - wykrzyknęła, gdy przechodziły przez dział bielizny. - Czy to nie wspaniałe? Widziałaś kiedyś coś podobnego?

„Wspaniałe” był komplet, składający się z przepięknej nocnej koszuli ze szlafroczkim, uszuty z morelowego jedwabiu. Koszula spływała aż do samej ziemi, a trzymała się na cieniutkich ramiączkach. Szlafroczek, układający się niczym peleryna, był przewiązany paskiem.

- Śliczne - zgodziła się Febe, dotykając lśniącego jedwabiu.

- To twój rozmiar, prawda? Przymierz!

- Ja? - Febe uznała to za absurdalny pomysł. Sypiała w obszernych sportowych koszulkach. - Nie, nie sędzę...

- Będzie ci w tym do twarzy.

- Lauralee...

- Czeka, to jest w promocji! - Dziewczyna wskazała triumfalnie na cenę zwisającą z rękawa. - Zobacz.

Febe popatrzyła. Nie mogła się powstrzymać. Hmmm.

Pięćdziesiąt procent zniżki.

- Tylko przymierz - nalegała dziewczyna.

- Oj, Lauralee, to naprawdę nie w moim stylu. Naprawdę nie było. Ani trochę.

Ale mimo to przymierzyła komplet bielizny z morelowego jedwabiu. A potem go kupiła.

Jackson wypił mocnej czarnej kawy i przyjrzał się siedzącej naprzeciw kobiecie. Miała na sobie elegancką bluzkę z krótkimi rękawami. Rude włosy zwinięte były w ciasny węzeł na karku. Emanowała spokojem, opanowaniem.

Niecałą godzinę temu ta sama kobieta była rozczochrana i spocona po długim, wyczerpującym biegu. Wpadła na trawnik przed domem chwilę po tym, jak zaparkował na wjeździe. Na jej widok poczuł znajome mrowienie jakiegoś kilka cali poniżej kłamy paska. Nie, niedokładnie tak. Coś, powiedzmy, że oczekiwanie, z braku lepszego słowa, drażniło go we wspomnianym rejonie przez całą drogę z posterunku do domu.

Rozmawiali o jej przeprowadzce z Północy.

- Praca w Atlancie była dla mnie wielką okazją - powiedziała Febe i spojrzała na zegarek. Jackson miał wrażenie, że zrobiła to nie po to, by sprawdzić czas, ale by uniknąć jego wzroku. - Poza tym nic mnie nie trzymało w Bostonie.

Nie skomentował tej wypowiedzi. Wiedział, że jej rodzice nie żyli. Najwyraźniej miała bliski kontakt z ojcem. Z matką raczej przeciwnie. Wiedział też, że była zaręczona i że jej narzeczony zginął w wypadku. W jaki dokładnie sposób i jak to zniosła Febe, tego Jackson nie wiedział.

Jeszcze.

Jego rudowłosa, zielonooka lokatorka miała wyjątkowy dar unikania pytań natury osobistej. Była w tym tak zręczna, że uświadomił to sobie dopiero przy trzecim wspólnym śniadaniu. A kiedy już się zorientował, co się dzieje, nie miał pojęcia, jak postąpić, by zmienić sytuację.

Wiele wspólnego miało z tym jej wykształcenie psychiatryczne. Wiedziała, jak dyskretnie utrzymać dystans. A przy tym Jackson skłonny był uznać, że jak wielu mężczyzn, nad wyraz chętnie zgadzał się mówić o sobie. Zwłaszcza gdy zachęta wychodziła od atrakcyjnej, inteligentnej kobiety.

- Febe - zaczął, ale zamilkł, słysząc skrzypienie podłogi. Nie miał wątpliwości, co oznaczał ten dźwięk. Febe nie dała po sobie poznać, że cokolwiek usłyszała. Zamiast tego uśmiechnęła się przelotnie i odsunęła krzesło.

- Muszę już iść - powiedziała. - Dziękuję za kolejne pyszne śniadanie. Jeśli chcesz ze mną pobiegać jutro rano...

- Na pewno - odparł szybko. A potem, gdy wstawała, sięgnął przez stół i chwycił ją za rękę. Spojrzała szeroko otwartymi oczami. Zastanowił się, czy Febe czuje to samo mrowienie, którego sam doznał, gdy jego palce zamknęły się na jej dłoni. Kiedy przemówił, miał lekko chropawy głos.

- I chciałbym także zaprosić cię jutro na kolację.

- Na kolację? - Febe wymówiła to słowo tak, jakby słyszała je po raz pierwszy w życiu. - To znaczy... tutaj?

- Nie. Chcę cię dokądś zabrać.

- A... czy Lauralee...?

Jackson usłyszał kolejne skrzypnięcie.

- Ona ma inne plany.

- Hmm - spróbowała zabrać rękę. Nie puścił.

- Nie biorę pod uwagę możliwości odmowy, Febe. Uniosła głowę, tak jak się spodziewał.

- Och, czyżby?

- Tak właśnie - odczekał chwilę i uśmiechnął się. Uwolnił rękę Febe. Powoli. Bardzo powoli. - Ale będę powtarzał „proszę” tak długo, aż się zgodzisz.

Wiedział, że wygrał, gdy ujrzał, jak Febe zagryza wargę, żeby się nie roześmiać. Zaskoczył go ogrom ulgi, jaką nagle odczuł. Nigdy przedtem nie musiał prosić o kobiece towarzystwo. Raczej padłby z wyczerpania, gdyby brał wszystko, co mu dawano.

- No to niech to usłyszę - rzuciła Febe. Poprosił. Dwa razy.

Lauralee wsunęła się do kuchni w minutę po tym, jak Febe wyszła do szpitala. Uczyniła wielkie przedstawienie z ziewaniem i pocieraniem oczu.

- Witaj, Lauralee - powiedział Jackson. - Dopiero wstałaś? Przestała ziewać. I trzeć oczy. Mijały chwile, a Jackson patrzył z rozbawieniem, jak córka zastanawia się, jak odpowiedzieć na to wyzwanie.

- Wiesz, że słuchałam? - westchnęła.

- Wiem. Skrzypiące podłogi nie sprzyjają podsłuchiwanu.

- Ja nie podsłuchiwałam - odparła. - To znaczy, nie celowo. Nie wiedziałam, że Febe siedzi tu z tobą. Nie od razu. A kiedy się zorientowałam, nie chciałam wam przeszkadzać.

- Bardzo rozsądnie. Przez chwilę oboje milczeli.

- Jakbyś się zastanawiał, uważam, że to dobry pomysł.

- Co?

Usteczka Lauralee wygięły się w uśmiechu.

- Że zabierasz Febe jutro na kolację.

- Miło mi to słyszeć, skarbie. - I to była szczerza prawda. Bardzo niewiele kobiet, z którymi spotykał się po śmierci Anne, znalazło uznanie w oczach jego córki.

I znowu zapadła cisza. Uśmiech na twarzy Lauralee ustąpił miejsca powadze. Zmierzyła go badawczym spojrzeniem i powiedziała:

- Ale jest jedna sprawa.

Jackson uniósł brew, zastanawiając się, o co może chodzić. Wyraz twarzy córki niepokoił go. Wyglądała tak... dorośle, chociaż wolałby znaleźć na to inne określenie.

- Febe jest inna niż twoje poprzednie dziewczyny, tato - stwierdziła z przekonaniem. - Jest niezależną kobietą. Musisz zrozumieć, tato, że niezależne kobiety mają specjalne potrzeby...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Febe uniosła lampkę wina i przyjrzała się spod zmrużonych rzęs siedzącemu naprzeciw mężczyźnie. Nie widziała jeszcze Jacksona Millera w marynarce i krawacie. Z niewiadomych powodów w eleganckim stroju wywierał na niej jeszcze większe wrażenie niż zwykle.

- A więc, Febe - nadział na widelec ostatnią krewetkę z talerza z przystawkami - powiedz mi, jakie są twoje potrzeby.

O mało nie zakrztusiła się wyśmienitym chardonnay, które Jackson zamówił do posiłku.

- P... przepraszam? - udało jej się wyjąkać.

Jackson rozgryzł, przeżuł i połknął swoją krewetkę. Lewy kącik ust drgnął mu nagle, ukazując dołek w policzku. Prowokujący blask zalśnił w oczach. Febe mimowolnie poruszyła się i skrzyżowała nogi.

Spódnica czarnej, jedwabnej sukni zaszeleściła o nylon przejrzystych rajstop. Zwilżyła wargi końcem języka, starając się ignorować wrażenia dochodzące gdzieś z dolnych rejonów jej brzucha.

Może jednak powiedział: „jakie są twoje potrzeby”?

- Lauralee podsłuchiwała co nieco z naszej wczorajszej rozmowy - wyjaśnił Jackson. - Ucieliśmy sobie potem pogawędkę jak ojciec z córką. Czy może raczej: jak córka z ojcem, bo to ona głównie gadała. W każdym razie, chciała mi powiedzieć, iż cieszy ją to, że zabieram cię na kolację. I chciała upewnić się, że rozumiem pewne sprawy.

- Jakie sprawy?

- Że jesteś niezależną kobietą, a niezależne kobiety mają specjalne potrzeby. - Oczy Jacksona rozjarzyły się silniej. - Odniosłem wrażenie, że moja córka uważa, iż nie mam szans odgadnąć tych potrzeb, a co dopiero stanąć na wysokości zadania. Dlatego postanowiłem zapytać.

Febe znów zmieniła pozycję. Te słowa o niezależnych kobietach pasowały do Lauralee. Ale skąd wzięła się kwestia „potrzeb”?

- Mówisz poważnie?

- Uważasz, że sobie to wymyśliłem?

Zastanowiła się nad tym. Było oczywiste, że Jackson bawił się trochę jej i swoim kosztem. Skoro nawet...

- Nie, nie sędzę. - Wypiła szybko łyczek wina. W ciągu ostatnich minut temperatura w restauracji podniosła się chyba o kilka stopni. - I co jej powiedziałaś, kiedy...

- Niewiele. Jak już mówiłem, to ona gadała. Ja byłem zbyt zajęty słuchaniem - Jackson potrząsnął głową. - Kto wie, do czego byśmy doszli, gdyby nie zadzwonił telefon.

- Do wykładu na temat bezpiecznego seksu? Nonszalancka, nieprzemyślana uwaga wymknęła się Febe nieopatrznie. Jackson rzucił jej zdumione spojrzenie. Była zde gustowana własną nieuwagą - na Boga, przecież nauczono ją, żeby najpierw myśleć, a potem dopiero mówić!

- Wykład na temat bezpiecznego seksu? - roześmiał się Jackson.
- O mój Boże, pewnie masz rację! - Pośmiał się jeszcze chwilę, po czym spoważniał.

Spojrzenie Jacksona na moment stało się nieobecne, tak jakby wyobrażał sobie zasugerowaną przez Febe scenę. W końcu skupił się i spojrzał na Febe. Wykrzywił usta.

- Wiesz, chyba nie bardzo bym się popisał. Wyznanie to zaskoczyło Febe tak samo, jak jego śmiech, a może i bardziej. Jedną z najbardziej uderzających cech Jacksona Millera była pewność siebie. Tylu mężczyzn, jakich znała, cierpiało na różne kompleksy, ale Jackson emanował niewzruszonym spokojem. Był zupełnie pogodzony z życiem. Trudno jej było wyobrazić go sobie w sytuacji, w której czułby się zagubiony.

No, chyba że wiązałoby się to z jego piętnastoletnią córką, próbującą doradzać mu w kwestii nowoczesnej etykiety seksualnej...

- Jestem pewna, że byś sobie poradził - powiedziała szczerze.
Uśmiechnął się łobuzersko.

- Może.

Zapadło milczenie. Febe wzięła widelec i zaczęła grzebać nim w zielonej sałacie, którą zamówiła na pierwsze danie. Jackson zjadł swoje owoce morza i napił się wina.

- Lauralee bardzo cię podziwia - stwierdził w końcu. - Nie przestaje mówić o tobie, odkąd tylko się poznałyście.

- Masz coś przeciwko temu?

Jackson zdawał się zaskoczony pytaniem. Potrząsnął głową.

- Mój Boże, nie! Ani trochę.

- To wspaniała dziewczyna.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak. Oczywiście. - Odłożyła widelec. - A ty nie? Jackson przesunął palcem po szkle kieliszka z winem.

- Ja nie jestem obiektywny. Dla mnie Lauralee jest ideałem.

- Ale...? Westchnął, zadumany.

- Ale martwię się o nią. Wiesz, czasem zdaje mi się, że jeszcze wczoraj pełzała w pieluszkach, śliniła się i próbowała mówić „da-da”. A teraz...

- A teraz nosi wysokie obcasy, makijaż i mówi o niezależnych kobietach i ich potrzebach.

- Słyszałaś już takie przemowy. Rozumiem.

- Podobne.

- Czy wszyscy ojcowie muszą znosić takie męki...?

- Bardzo wielu. - Febe uśmiechnęła się. - Zwłaszcza ci dobrzy ojcowie.

Jackson odwzajemnił uśmiech.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

Kelner pojawił się i zapytał, czy już skończyli pierwsze danie.

Szybko zabrał talerze i odszedł.

- To działa w obie strony, wiesz? - skomentowała Febe.

- Co?

- Martwienie się.

Jackson zeszywniał. Dziwny wyraz zjawił się na jego twarzy, a oczy pociemniały jak niebo o zmierzchu.

- Chcesz powiedzieć, że Lauralee martwi się o mnie? Febe zawahała się, niepewna, jak rozumieć to pytanie.

I nie chciała zdradzać zaufania Lauralee. W końcu powiedziała:

- Niepokoi się trochę, jak się zachowasz, gdy skończy szesnaście lat. Mówiąc wprost, gdy w świetle prawa nikt, wliczając ciebie, nie będzie miał już wpływu na to, czy - i z kim - Lauralee rozpocznie współzycie seksualne.

O nie, znowu o tym wspominam... Febe ugryzła się po niewczasie w język. Współzycie...

- Aha - Jackson odprężył się - o to chodzi.

- Tak, o to. - Ale czego on się spodziewał? - Innymi słowy, nie wie, co się stanie, jak zaczną chodzić na randki.

- To proste - Jackson spoczął na oparciu. - Nic. Febe zamrugła powiekami.

- Co?

- Nic się nie stanie. Bo każdy chłopak, który po nią przyjedzie, będzie musiał wstąpić do mnie na słówko. Spojrzę każdemu prosto w oczy i powiem: „Synu, dobrze wiem, o co ci chodzi, bo ja tego samego chciałem, będąc w twoim wieku. Ale jeśli ty chcesz dożyć mojego wieku, zapomnisz o tym, czego chcesz od mojej córki”.

Jackson umilkł, jakby zastanawiał się nad ojcowską strategią. Kiedy podjął wątek, diabelski błysk zapłonął w jego oczach.

- A potem pewnie zgniotę w dłoniach parę puszek z piwem albo pokażę dzieciakowi moją kolekcję broni palnej, zależnie od tego, w jakim będzie wieku.

Gdyby nie ten błysk w oku, wzięłaby go poważnie. Roześmiała się.

- Mam wrażenie, że właśnie czegoś takiego obawia się Lauralee. Jackson udał zdziwienie.

- Za ostro?

- Troszeczkę. O, tyle - Febe uniosła dłoń, wystawiając kciuk i palec wskazujący rozsunięte na kilka milimetrów.

- Hmm. A jeśli pominę scenę z bronią palną?

- A naprawdę masz kolekcję broni?

- Nie. Ale zastanawiam się, czy takowej nie zgromadzić, odkąd tylko Lauralee powiedziała mi, że babcia zabrała ją do miasta celem kupienia pierwszego stanika.

Roześmiali się oboje. Ich oczy spotkały się. Febe poczuła, że ogarnia ją słodkie ciepło. Wspólny śmiech ucichł, nastąpiła pełna napięcia cisza.

- Naprawdę nie sędzę, żebyś musiał się martwić o Lauralee - rzekła w końcu, mając nadzieję, że jej głos nie brzmi tak sztucznie, jak jej samej się wydawało. - Jest mądra, rozsądna i dobrze wie, kim jest.

- Wiem. W sumie ma pewnie lepiej poukładane w głowie, niż ja miałem w jej wieku - przyjrzał się Febe uważnie i spytał: - A jak zareagował twój ojciec, gdy poszłaś na pierwszą randkę?

Zaparło jej dech. Umknęła spojrzeniem. Co innego było przyznać się do roli brzydkiego kaczątka nastolatce, a co innego wyznać to mężczyźnie, który w szkole średniej musiał być obiektem niezliczonych westchnień. W końcu spojrzała na niego, silnie powtarzając sobie, że co było, minęło.

- Tak naprawdę - powiedziała - mój ojciec dowiedział się o tym dopiero parę tygodni później.

Jackson ściągnął brwi.

- Nie dowiedział się...?

I w tym momencie nadszedł kelner.

- Proszę uprzejmie! - rzekł z uśmiechem, stawiając przed nimi artystycznie udekorowane talerze. - Pieczony jesiotr w tropikalnym sosie salsa dla pani. I kurczak z różną z ostrym sosem dla pana.

Nastało milczenie. Kelner popatrzył na niego i na nią.

- Czy coś się stało? - spytał uprzejmie.

- Nie, nic - powiedział Jackson. - Dziękujemy bardzo.

- Wygląda prześlicznie - pochwaliła Febe, sięgając po widelec.

Kelner uśmiechnął się z ulgą.

- Życzę smacznego.

Znowu to zrobiła! pomyślał Jackson z mieszaniną podziwu i irytacji. Korzystając z przyjścia kelnera, odwróciła bieg konwersacji. A on świetnie jej w tym dopomagał, gadając bez przerwy przez czterdzieści pięć minut. Wystarczyło jedno pytanie - o psychologiczne aspekty pracy strażaka - i zaczął gadać, jakby nie rozmawiał z nikim od miesiący.

Czy ona zdawała sobie z tego sprawę? Jeszcze wczoraj był tego pewien. Dzisiaj już nie. Zaczynał sądzić, że jej bariery obronne były tak silne, iż nawet nie zauważała, jak uporczywie unika, osobistych pytań.

To nasuwało na myśl pytanie najważniejsze. Co było przyczyną takiej defensywnej postawy? Nic. Jak dotąd, nie miał o niczym takim pojęcia. Ale z drugiej strony, wciąż wiedzy na jej temat miał tyle, co kot napłakał.

Skrzywił się, zły, że aż tak przeszkadza mu ta niewiedza. No dobrze! Pociągała go fizycznie. Nie była w jego typie, a jednak miała w sobie coś takiego, co pobudzało jego zwierzęce instynkty. Chwyciło go to coś, jak tylko ją zobaczył, i wcale nie zamierzało puścić. Gorzej, ścisnęło coraz mocniej.

Naprawdę coraz mocniej. Mało brakowało, a okryłby się wstydem podczas kilku ostatnich porannych biegów. Na szczęście miał na sobie dość luźne szorty, by ukryć to, co oczywiste. No dobra, miał na nią ochotę. Dobrze! Świetnie! Nie miał zamiaru przed sobą udawać. Ale i nie miał zamiaru niczego uczynić. Przynajmniej...

niczego na poważnie. Było wiele argumentów przemawiających za wstrzeźliwością.

Po pierwsze, doktor Donovan była jego lokatorką. Bardzo bliską sąsiadką. Bardzo wygodne, nie da się ukryć. Ale i skomplikowane.

Szczerze mówiąc, nie czuł ochoty na żaden długotrwały związek. Miał kiedyś żonę. Kochał ją gorąco i stracił zbyt wcześnie, ale po pewnym czasie pogodził się z tym. Niemniej jednak, dzięki temu, co przeżył z Anne, bardzo sobie cenił instytucję małżeństwa. Nie miał zamiaru żenić się jeszcze raz. Dawał to jasno do zrozumienia kobietom, z którymi się spotykał - zwłaszcza tym „dobrym partiom”, które podsuwała mu matka. Mały romans bez zobowiązań był w porządku. Ale nic ponadto. A romans z kobietą, która płaciła mu za wynajem części domu, w oczach Jacksona był przeciwieństwem „romansu bez zobowiązań”.

To przywodziło na myśl drugi istotny powód, dla którego dobieranie się do Febe było niewskazane. Powodem tym była jego córka, Lauralee. Nie udawał, że od śmierci żony żył jak mnich, ale zawsze był bardzo dyskretny w tych sprawach. Raczej nie udałoby się zachować dyskrecji, żyjąc z kobietą, która mieszkała pod jednym dachem z jego córką.

Ciekawe, że Lauralee nabrała natychmiastowej i głębokiej sympatii do Febe. I bez wątplenia Febe również szczerze polubiła Lauralee. Miał czasami wrażenie, że wolała towarzystwo jego córki niż jego samego. Ale jednak...

Sięgnął po kieliszek.

Cholera! Przecież wiedział, że on też pociągał Febe seksualnie. Niemożliwe, żeby tyle elektryczności płynęło tylko w jedną stronę. Czuł, że drżała, gdy ją dotykał. Słyszał, jak zmienia się jej rytm oddechu. Widział, jak pulsuje jej żyłka na szyi, gdy się zbliżał. Więc czemu trzymała go na dystans? Dlaczego?

Z pewnością nie mógł jej zarzucić, że go podpuszczała. Gdyby chciała zauroczyć go wdziękami, rozpuściłaby na dziś wieczór włosy. I przywdziałaby bardziej skąpy strój. Ech, popatrzyłoby się na te jej wypukłości... Ale musiał przyznać, że jej fryzura była intrygująca. Miał wrażenie, że, jakby wyciągnąć odpowiednią szpilkę, elegancko upięte włosy spłynęłyby kaskadą wokół szyi i na ramiona. Im bardziej także zastanawiał się nad skromną czarną sukienką, tym bardziej wydawała się prowokująca. Wyzywająca skromność.

Więc... może jednak go podpuszczała? A jeśli tak, to czy jej uniki i zbaczanie z tematu nie były częścią jakiejś damsko-męskiej gry? Nie. Nie wierzył, że byłaby do tego zdolna.

I nie sądził, by pytania na temat jego pracy były nieszczerze. Wystarczyło wspomnieć jej wyraz twarzy, gdy mówił, co czuje, gdy podjeżdża pod płonący budynek i wie...

- Jackson?

Drgnął, wyrwany z zamyślenia. Sięgnął odruchowo po lampkę wina. Ciekawe, jak długo błądził w labiryncie własnych myśli.

- Coś nie w porządku? - spytała.

- Nie - odparł szybko, kręcąc głową. - Myślałem tylko, jaką jesteś wspaniałą słuchaczką.

Jej oczy otwały się szerzej. Miał rację, gdy zgadywał, że były zielone, z drobnymi plamkami złota. I jeszcze z odrobinką brązu.

- Dziękuję - odparła ostrożnie.

- Ale niepewnie się czujesz, gdy powinnaś się odwzajemnić.

Zmarszczyła się.

- Co rozumiesz przez wzajemność?

- Zachęcasz mnie, żebym gadał o sobie jak najęty, ale zmieniasz temat za każdym razem, gdy zaczynamy mówić o tobie.

Jej zdumienie wyglądało na szczere, ale odpowiedź brzmiała nieco nienaturalnie.

- Nie... nie zdawałam sobie z tego sprawy. Właściwie nie mam o sobie wiele do powiedzenia, Jacksonie. Sądziłam, że... - Umilkła na chwilę, aż wreszcie zrobiła szeroki gest dłonią. - A co chciałbyś wiedzieć?

„Wszystko”, miał na końcu języka. Ale się powstrzymał.

Ponieważ ona tak bardzo interesowała się jego zawodem, postanowił zapytać o to samo.

- Dlaczego psychiatria? - zapytał wprost. Febe zastanowiła się chwilę, nim odpowiedziała:

- Sądzę, że przede wszystkim pragnęłam podążać w ślady ojca.

- Był psychiatrą.

- Tak.

- Zachęcał cię?

- Dopiero wtedy, gdy okazałam zainteresowanie tą profesją. A nawet wtedy zawsze podkreślał, jaki to trudny zawód. Niczego nie upiększał.

- A twoja matka?

- Co: moja matka? - W jej głosie nagle pojawiło się napięcie.

Tylko ostrożnie, upomniał się Jackson.

- Też cię zachęcała?

Febe uciekła wzrokiem w bok. Reakcja była chyba instynktowna. Po chwili zdała sobie sprawę, co zrobiła, i znów spojrzała na niego.

- Matki z nami nie było. Porzuciła nas, gdy miałam sześć lat.

Jackson nie potrzebował harwardzkiego dyplomu z medycyny, żeby dostrzec, że przez przypadek poruszył bardzo bolesną ranę.

- Przepraszam cię - rzekł szczerze - nie miałem pojęcia. Lauralee coś wspomniała, że twoja matka zginęła, gdy miałaś lat osiemnaście...

- To prawda. A mój ojciec zmarł na zawał serca cztery lata temu. Grał w tenisa. W jednej chwili odbijał piłkę, a w drugiej już... leżał na ziemi...

Zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie.

- Byłaś tam?

- Widziałam wszystko.

- Mój Boże!

- Nikt nic nie mógł zrobić. Przeciwnik taty był specjalistą kardiologiem. Spróbował masażu serca. Ale wiedział, że nie ma szans. Ja też o tym wiedziałam, gdy tylko zobaczyłam, jak ojciec się

przewraca. Jak... jak obalone drzewo... - Potrząsnęła głową, usta wygięły jej się w gorzkim uśmiechu. - On uwielbiał tenis. Grał jak szalony. Mówił, że to pomaga mu się zrelaksować. Ale jeśli widziało się go na korcie...

- Wiem, że to niewielka pociecha, ale umarł, robiąc coś, co kochał.

- Prawda - przyglądała mu się jakiś czas. - Pewnie mógłbyś to samo powiedzieć o swoim ojcu.

- Bez wątpienia - przyznał.

- Chciał, żebyś został strażakiem?

- Wiesz, to trochę zabawne, ale nie mam pojęcia. Minęło trochę czasu, zanim zdał sobie sprawę, że ona znowu mu to zrobiła.

I wtedy stwierdził, że jeśli naprawdę chce się czegoś o niej dowiedzieć, to musi znaleźć lepszą metodę, niż zadawanie pytań.

- Jackson...

- Tak, droga pani?

Febe rozejrzała się, chcąc zorientować się w okolicy.

- Nie zaparkowałeś pod twoim domem.

- Wiem - odrzekł spokojnie. - Mój dom jest nieco dalej. Ten biały. Rozumiesz, w sypialni na piętrze pali się światło.

Febe nie miała pojęcia, do czego odnosi się to spostrzeżenie. Powiedziała mu to po chwili.

- To jest pokój Lauralee - wyjaśnił. - Czeka na nas.

- Naprawdę?

- Wyglądała przez okno, gdy przejeżdżaliśmy.

Febe otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale cokolwiek to było, zamarto jej w gardle, gdy usłyszała metaliczne szczęknięcie zwalnianego pasa. A skoro jej pas bezpieczeństwa był nadal zapięty...

Jackson przysunął się, by zajrzeć jej prosto w oczy. Przysunął się bliżej. Powoli. Bardzo powoli. I wyciągnął ku niej rękę.

Kolejne metaliczne szczęknięcie.

Puls Febe przyspieszył, gdy poczuła nagłe zwolnienie przecinającego pierś pasa. Rytm jej oddechu zaczął się rwać. Dreszcz przeniknął Febe od stóp do głów. Powietrze zdawało się migotać, jakby naelektryzowane przez błyskawicę.

Wymówiła jego imię. Głośno. A może tylko myślała, że je wymówiła?

Jego twarz była trudno widoczna. Tak jak przy pierwszym spotkaniu. Ale teraz wyobraźnia mogła dodać szczegóły, których Febe nie dostrzegała w mroku. Wyraz niebieskich oczu. Surowe rysy twarzy. Bardzo męski łuk zmysłowych ust...

Uniósł dłoń i pogładził ją po twarzy. Żar jego dotyku przeniknął ją całą. Jackson pogłaskał jej policzek, a potem przesunął palcami w dół, śledząc linię podbródka. Czuła mrowienie wszędzie, gdzie ją dotykał.

- Jackson! - jęknęła nieswoim głosem.

- Zaparkowałem tutaj, a nie przed własnym domem, ponieważ jeszcze nigdy nie całowałem na dobranoc niezależnej kobiety ze

specjalnymi potrzebami - powiedział niskim, chropawym głosem. -
Wolałbym nie mieć widowni, jeśli za pierwszym razem coś pójdzie
mi nie tak. Pewien jestem... - Ujął ją pod brodę, podniósł lekko jej
głowę - że... - Pochylił się. - ...rozumiesz.

Poczuła na wargach jego oddech, gdy wymawiał ostatnie słowo.
Jedno uderzenie serca później pochylił głowę i przycisnął usta do jej
warg.

Z gardła Febe dobył się odgłos na pół protestu, na pół prośby.

Z różnych powodów nie powinni...

Opuściła powieki. Jej ręce z własnej woli otoczyły jego szyję.

Jego usta zaczęły napierać. Z początku delikatnie. Drażniąca
pieszczota tu, lekkie skubnięcie tam. Z rosnącą natarczywością.
Pieszczota przeszła w powolne, zmysłowe lizanie. Skubnięcie stało się
doskonale prowadzonym miłosnym kłusaniem.

Febe rozwarła usta w odpowiedzi na pieszczoty. Zadrżała, gdy
nagrodził jej poddanie mocnym, przyjemnym pchnięciem języka. Coś
głęboko w jej wnętrzu zacisnęło się w supeł, a potem wybuchło
ogromem doznań.

Pocałunek stawał się coraz gorętszy. Zachłanniejszy.

Zgięła się, chcąc przysunąć się bliżej.

A potem znowu, żeby być jeszcze bliżej.

Jackson ujął jej prawy policzek lewą dłonią. Przechyliła głowę w
jedną stronę, on w przeciwną. Języki połączyły się i zwały w
zmysłowym akcie pieszczoty. Oddechy zlały się, złączyły w jedno.

- Febe... kochana...

- Jackson... och, Jackson...

Później, w środku lodowatego prysznicu, dość zimnego, by zabarwić paznokcie na sino, ale niezdolnego ochłodzić gorącej krwi, Jackson Stuart Miller doszedł do wniosku, że jego piętnastoletnia córka miała zupełną rację. Febe Donovan nie była taka, jak inne kobiety, z którymi się spotykał.

I bardzo dobrze. Bo już więcej się z nią nie spotka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Febe usłyszała stukanie do drzwi.

- Idę! - zawołała, odkładając czasopismo medyczne. Zdjęła okulary w rogowej oprawce, używane do czytania, wstała z wypożyczonej kanapy i ruszyła do drzwi.

- Kto tam?

- To ja, Febe - zadźwięczał znajomy sopran. Febe zdjęła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Witaj, Lauralee.

Nastolatka zaprezentowała nakryty folią talerz.

- Upiekłam brzoskwińowe ciasto - oznajmiła z prostodusznym uśmiechem - i pomyślałam, że może będziesz miała na nie ochotę.

- O, dziękuję! - Febe przyjęła podarunek.

Musiła przyznać dziewczynie plusa za wybieg z ciastem. I za niemałą dozę samozaparcia. Spodziewała się wizyty Lauralee już od kilku godzin.

- Może wejdiesz na chwilę?

Lauralee przepięknie odegrała scenę wahania. Przygryzła wargę i zmarszczyła czołko, a na koniec westchnęła, ewidentnie dając do zrozumienia, jak bardzo pragnęła przyjąć zaproszenie.

- Ale nie chciałabym ci przeszkadzać - rzekła i rzuciła spojrzenie spod jasnych rzęs. Najwyraźniej powinna być namawiana.

Rozbawiona Febe zapewniła ją zatem:

- Nie będziesz mi przeszkadzać.

- Jesteś pewna?

- Jak najbardziej.

- Dobrze.

Febe ukroiła dwa kawałki pełnego owoców przysmaku na spodzie z francuskiego ciasta i nalała po szklance zimnego mleka, gawędząc z Lauralee o byle czym. Po paru minutach Lauralee zadała wreszcie najważniejsze pytanie:

- A czy wczoraj... hmm... bawiliście się dobrze? - spytała pozornie lekkim tonem.

Febe skinęła głową i przełknęła kawałek ciasta.

- Tak. Bardzo.

Lauralee napiła się mleka. Wyraźnie miała nadzieję, że Febe powie coś więcej. Zawiodła się. Febe nie miała ochoty zwierzać się piętnastolatce...

A co do jej ojca... Nie! Zapomnij o tym! - przykazała sobie w myślach. Po prostu zapomnij o tym.

- To samo powiedział tata - rzekła Lauralee, bawiąc się kawałkiem ciasta. Febe poczuła, jak jej puls przyspiesza. Otarła usta chusteczką, ciesząc się, że nie drży jej ręka.

- Tak powiedział?

- Tak - Lauralee dziobnęła widelcem swój kawałek. - Wiesz, wstałam wcześniej i zrobiłam mu śniadanie, zanim pojechał do pracy. No i zapytałam, czy dobrze się bawił. Powiedział, że tak. Bardzo. - Podniosła wzrok na Febe. - Tak jak ty.

- Miło mi to słyszeć - Febe znów cieszyła się, że nie ma skłonności do rumienienia się. Inaczej byłaby czerwona jak burak.

- Bardzo, bardzo dobrze - skomentowała Lauralee. - Jak myślisz, umówicie się jeszcze raz?

Febe wypła łyk mleka.

- Nie wiem - rzekła po dłuższej chwili. Kłamała. Dobrze wiedziała, że nie przyjmie następnego zaproszenia. Bliższe kontakty z Jacksonem byłyby jak igranie z ogniem! - Nasze wspólne randki mogłyby się trochę... skomplikować.

Lauralee długo przeżuwała kolejny kęs ciasta. Przełknęła, mierząc Febe dziwnym spojrzeniem. W końcu wyznała:

- Tata też powiedział coś w tym stylu.

- Tak? - Febe chyba powinna czuć ulgę. Zamiast tego doznała czegoś niepokojąco przypominającego rozczarowanie i urazę. Szlag

by go trafił! Nie mógł przewidzieć komplikacji, zanim zacałował ją niemal do utraty przytomności?

Oczywiście, istniała możliwość, że przewidział konsekwencje i pocałował ją pomimo to. A może nawet właśnie z ich powodu! Może Jackson Stuart Miller był mężczyzną, który lubował się w strzelających iskrach i gorejących płomieniach.

- Tak powiedział - Lauralee zmarszczyła piegowaty nos i westchnęła. - A potem dodał, że mam pilnować swoich spraw.

Znowu nastała cisza. Febe zjadła ciasto i wypła mleko. Lauralee również.

- Jeszcze? - zapytała wreszcie Febe, by przerwać nieprzyjemną ciszę. Lauralee uśmiechnęła się i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, dziękuję. Napchałam się. I muszę już iść. Moja kumpelka urządza dziś wieczorem „pizama party”.

- Kroi się niezła impreza? - Febe, przyzwyczajona do rozmów z młodymi ludźmi, odruchowo zaczęła mówić slangiem.

- Pewnie tak. A jeśli mowa o imprezach... - Lauralee zawiesiła prowokacyjnie głos. Alarm zadźwięczał w głowie Febe.

- Tak?

- Co robisz w przyszłą sobotę?

- To zależy. A czemu pytasz?

- Bo myślałam, że może zechciałabyś pójść na zawody.

- Na co?

- Na zawody strażackie. Komenda rejonowa organizuje je co roku. Na przedmieściach. Coś w rodzaju wielkiego festynu.

Przejażdżki i gry. Załogi z wszystkich posterunków współzawodniczą o tytuł Strażaka Roku. Ale to nie dla zabawy, zawody pomagają gromadzić fundusze na Fundację Pogorzalców.

Febe zeszywniała, gdy zaatakowało ją nagle wspomnienie.

Fundacja Pogorzalców. Pożar... Płonący... Spopielony... O Boże!

Samolot, którym leciał Alan Brinkley, spłonął doszczętnie.

Powiedziano jej, że ciało narzeczonego zostało całkiem zwęglone.

Konieczna była identyfikacja poprzez kartotekę dentystyczną. Miała potem koszmary...

Zacisnęła dłonie, nie zauważając, jak głęboko paznokcie wpiły się w ciało.

Jackson ryzykował śmierć w pożarze za każdym razem, gdy jechał do pracy. Nadstawiał karku celowo i świadomie, walcząc z żywiołem. Za każdym razem, gdy przyjmował wyzwanie, narażał się na...

- Febe? - Lauralee zapytała z niepokojem. - Dobrze się czujesz?

Febe zebrała się w sobie. Przywołując całą samodyscyplinę, poskromiła burzę emocji i zdobyła się na coś, co w jej zamierzeniu miało być normalnym wyrazem twarzy.

- Tak, wszystko w porządku.

- Ale wyglądasz jakoś tak...

- Nic mi nie jest, Lauralee. Naprawdę.

- No to co powiesz na zawody? Bardzo mi zależy, żebyś przyszła. Bo za tydzień wyjeżdżam do Baltimore, do rodziny mojej

mamy, i wrócę dopiero pod koniec sierpnia. A potem znów zaczynam naukę. To właściwie ostatnia okazja, żeby z tobą побыć!

Febe poruszyła się.

- A co na to twój ojciec?

- E, tam! - Lauralee machnęła nie dbale ręką. - Nie będzie mu to przeszkadzać. Zresztą możesz sama zapytać.

Febe zapytała. Następnego ranka. Właśnie ukończyła poranny bieg. Jackson właśnie wracał do domu po kolejnej całodobowej zmianie.

- Dzień dobry... Jackson... - wysapała. Miała niezręczną świadomość, że urywany oddech przy powitaniu był w równym stopniu zasługą wysiłku, jak i niepokoju.

- O, cześć - odparł lakonicznie. Uśmiechnął się przelotnie. Krótko. Dołeczek na policzku ledwo się zaznaczył.

„O, cześć?” powtórzyła w myślach. I tylko tyle?

- Jak w pracy? - spytała po chwili. Wzruszył lekko ramionami.

- Nie tak źle. Parę płonących śmietników, jeden fałszywy alarm.

Dwa wezwania na 911. Nic groźnego. A twój bieg?

- Normalnie.

Kolejny uśmiech. Niewiele dłuższy od pierwszego.

Coś jest nie tak, pomyślała Febe.

To było ich pierwsze spotkanie po tamtym wieczornym pocałunku. Spodziewała się, że... Nie, sama nie wiedziała dokładnie, czego oczekuje. Ale na pewno nie tego, żeby Jackson zachowywał się tak, jak gdyby między nimi nic szczególnego się nie wydarzyło!

Wyprostowała się i posłała Jacksonowi doskonale wyważony uśmiech. A potem wciągnęła go w zwykłą, codzienną konwersację, taką, jakie wiedli ze sobą od tygodni. A gdy już uznała, że dostatecznie dała mu odczuć, iż dla niej tamten wieńczący randkę pocałunek znaczył jeszcze mniej niż dla niego, poruszyła temat zaproszenia Lauralee.

- Na zawody strażackie? - powtórzył z nieodgadnionym błyskiem w niebieskich oczach. - Pewnie, że tak. Będziesz bardzo mile widziana.

Powiedział to serdecznym tonem, ale bez nacisku. Mógł tak tylko powiedzieć... Odniosła wrażenie, że tak naprawdę nie życzył sobie jej obecności.

Z niewiadomych przyczyn z pamięci wypłynęło nazwisko, które słyszała tylko raz, ale o którym myślała ze trzy czy cztery razy w ciągu ostatnich tygodni.

Keezia Carew.

„Egzotyczna” babka, której niezależność tak bardzo podziwiała Lauralee. Kobieta, z którą łączył Jacksona niebezpieczny zawód.

- Ale? - mruknęła po przerwie. Czoło Jacksona przecięty zmarszczki.

- Jakie ale?

- Słyszę „ale” w twoim głosie, Jackson. Odnośnie do mojej obecności na zawodach.

Po raz kolejny w oczach Jacksona zabłysły emocje, których Febe nie umiała zinterpretować. Zakołysał się na obcasach i wepchnął ręce

w kieszenie mundurowych spodni. Złocista blaszka z nazwiskiem, przypięta po lewej stronie koszuli, odbiła promień wschodzącego słońca.

- Nie jestem pewien, czy to zabawa dla ciebie - rzekł po sekundzie czy dwóch.

Nagle Febe przeniosła się znowu w lata smutnej młodości, gdy wszyscy byli gdzieś razem, a ona zawsze obok. Zawsze ignorowana.

- Mówisz, że nie będę do was pasować - stwierdziła gorzko.

- Tego nie powiedziałem, Febe - zaprzeczył, po raz pierwszy tego dnia wymawiając jej imię. - Nie jestem tylko pewien, czy będziesz się dobrze bawić.

Febe właśnie podjęła decyzję, że pójdzie. Uniosła głowę i rzuciła:

- O, czyżby? No to, poruczniku Miller, być może będę miała okazję pana zaskoczyć.

W rzeczywistości zaskoczyła samą siebie.

Nigdy nie miała ochoty bywać na tłumnych festynach pod gołym niebem. A jednak gwarna plenerowa impreza jaką okazały się zawody, podziałała na nią ożywczo i rozweselająco. Nigdy dotąd nie ciągnęło jej kibicowanie zza linii szranków. A krzyczała prawie do ochrypnięcia, gdy Jackson i jego koledzy z posterunku zwyciężyli we wszystkich konkurencjach, od podawania wiader, przez wspinaczkę z hakownicą, do rozwijania węży, i zostali ogłoszeni Strażakami Roku.

- Tato, byłeś wspaniały! - zawołała Lauralee po ceremonii wręczenia nagród. - Był super, no nie?

- Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki - powiedział Jackson, ściągając hełm z głowy.

Przejechał palcami mokre od potu włosy. Jak wszyscy strażacy, miał na sobie pełny kombinezon. Febe wspomniała ich pierwsze spotkanie, gdy był w takim samym dziwacznym stroju. Ich spojrzenia spotkały się. Jackson chyba też o tym samym pomyślał.

- Słyszałeś, jak cię dopingowałyśmy? - musiała wiedzieć Lauralee. Oczy Jacksona spoczęły na moment na Febe, potem na córce.

- Kochanie, spodziewam się, że słyszano cię nawet w Biloxi w Missisipi.

- Oj, tato!

- Dobrze, że nie ma tu twojej babki - droczył się Jackson. - Gdyby słyszała, jak podnosisz głos, zemdlałaby ze wstydu.

Lauralee zachichotała.

- A najpierw zrobiłaby mi wykład o tym, jak powinna zachowywać się dama.

Poznawszy Babcię Miller przed paroma dniami, Febe uznała scenariusz z omdlewaniem za zbyt daleko posunięty. Ale wykład o stosownym zachowaniu zdawał się całkiem prawdopodobny. Idealnie zadbana i o nienaganych manierach, Louisa Miller okazała się równie dostojna na żywo, jak na fotografii. Była to jakby południowa

wersja królowej Wiktorii w średnim wieku. Febe musiała stłumić wrażenie, że powinna była dygnać, będąc jej przedstawiana.

Louisa Miller była córką zamożnych, wysoko postawionych rodziców. W wieku dwudziestu lat, odrzuciwszy kilka wyjątkowo dobrych partii, zaszokowała rodzinę i znajomych, zakochując się w strażaku, wezwanym do jej szkolnego internatu, by ratować perskiego kota, zdobywcę wielu nagród. Były burzliwe dyskusje i zmagania woli, ale w końcu Louisa Lee Chastain została panią Miller.

Spotkanie z babcią Lauralee było dziwaczne. Febe miała świadomość bycia ocenianą, ale wytworność starszej damy nie pozwoliła jej zauważyć, czy ocena wypadła pozytywnie, czy nie. Nawet w retrospekcji...

- Moja wnuczka powiada, że jest pani psychiatrą w jednym z naszych szacownych szpitali - stwierdziła Louisa Miller po wymienieniu formalności zapoznawczych. W jej głosie pobrzmiwała zarówno słodycz, jak i przebiegłość.

- Tak, proszę pani - potwierdziła Febe.

- Babcia Miller uważa, że ludzie, którzy chodzą do psychiatrów, powinni się leczyć na głowę - zaśmiała się Lauralee.

- Lauralee - skarciła surowo babka, przenosząc po chwili wzrok na Febe. Miała tak intensywnie niebieskie oczy jak jej syn. Ale jego oczy były szczere, przejrzyste, a te oczy nie zdradzały niczego, były zimne jak stal. - Przepraszam za moją wnuczkę.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała Febe, wiedząc, że przeprosiny nie są zaprzeczeniem wypowiedzianych słów. - Wielu ludzi ma... hm... uprzedzenia wobec psychiatrii.

Starsza kobieta zmarszczyła się lekko. Najwyraźniej nie spodobało jej się zakwalifikowanie do „wielu ludzi”.

- Zdaję sobie sprawę, że pani profesja w pewnych przypadkach może się okazać bardzo pożyteczna - stwierdziła Louisa Miller po krótkiej przerwie. - Tyle że, co prawdopodobnie jest kwestią sposobu, w jaki zostałam wychowana, jestem zdania, iż ludzie powinni raczej rozmawiać o swoich problemach z rodziną i przyjaciółmi, a nie udawać się po radę do obcych.

Z rozmyślań o matce Jacksona wyrwał ją basowy głos.

- Hej, stary! No, gadaj, jesteśmy najlepsi?

Tryskające entuzjazmem pytanie zadał potężnie zbudowany czarnoskóry mężczyzna z pięknym wąsem, który pojawił się przed chwilą za Jacksonem. Miał na sobie dzinsy i pomarańczową koszulkę z napisem „Jestem rozpalony!”.

Febe wstrzymała oddech. Zwróciła uwagę na tego faceta już podczas turnieju. Nie można było nie zwrócić uwagi na kogoś o takich rozmiarach. Ale uwagę Febe przykuł jego stosunek do Jacksona. Natychmiast także poznała, że już go kiedyś widziała.

- Jesteśmy zdecydowanie najlepsi - powiedział Jackson.

Nastąpiło entuzjastyczne przybijanie piątek.

- Obaj byliście fantastyczni - wtrąciła Lauralee. Olbrzym mrugnął do niej.

- Robiłem, co mogłem, żeby twój stary jakoś wypadł

- ruchem głowy wskazał Febe. - Nie chciałem, żeby mi się zbłąźnił na oczach doktor Donovan.

Ten strażak wie, kim ona jest. Rzuciła Jacksonowi krótkie spojrzenie. Nie mogła niczego odczytać z jego miny, ale policzki miał chyba trochę bardziej rumiane niż chwilę temu.

Rozmawiał o niej, pomyślała. Rozmawiał o niej z przyjacielem. Ale dlaczego? I co opowiadał?

- Febe, to jest Ralph Randall - powiedział Jackson, wskazując na kolegę. - Szafa, to jest doktor Febe Donovan.

- Szafa? - powtórzyła Febe, unosząc wzrok ku mężczyźnie. O, z całą pewnością miał więcej niż sześć stóp wzrostu, a szerokości w barach mógł mu pozazdrościć futbolista.

- To pan jest... Szafa?

Słyszała to przezwisko w domu Millerów najmniej tuzin razy. Doszła szybko do wniosku, że jej pierwsze wrażenie

- to, że Szafa był jakimś źródłem konfliktów między ojcem a córką - było zupełnie błędne.

- Zgadza się - potwierdził Szafa. Wyciągnął wielką jak bochen dłoń i Febe podała mu swoją. - Przyjaciele tak na mnie mówią.

- Nazywają go tak, bo parę lat temu mieliśmy na posterunku wizytę dzieci z przedszkola, a taki mały berbecz spojrział na niego i

pisnął: „Panie strażaku, pan jest chyba większy od szafy w sypialni mojej mamy” - uściślił Jackson.

Szafa odczekał chwileczkę i niewinnie zapytał:

- Mówiąc o anegdotach, czy ten białasek opowiedział pani, doktor Donovan, jak uratował życie swojemu kapitanowi?

Lauralee zachichotała.

- Zwracaj się do mnie po imieniu, Szafo, dobrze? - rzekła Febe - Nie, Jackson nigdy mi o tym nie wspominał.

- Spodziewałem się tego - Szafa potrząsnął głową ze smutkiem. - Chłopak jest taki skromny i w ogóle...

Febe stłumiła uśmiech.

- Może więc ty zechcesz...?

W tym momencie Jackson walnął Szafę łokciem w brzuch. Na to Szafa demonstracyjnie, w iście teatralnym stylu, zgiął się w pół i zaczął stękać z bólu.

- Lauralee, dziecinko, on mnie bije...

- Tatusiu, nie bij go, to brzydko - zachichotała dziewczyna. - A ty, Szafo, odpuść tym razem ojcu, dobrze?

- W porządeczku - odparł Szafa i klepnął przyjaciela w plecy. Febe pomyślała, że wielu mężczyzn padłoby pod takim klepnięciem na kolana.

Jackson zrzucił z siebie kombinezon bojowy. Wszyscy postanowili coś zjeść. Po jakichś dziesięciu minutach Lauralee wpadła

na kilka szkolnych koleżanek i za pozwoleniem ojca znikła gdzieś w tłumie.

Febe, Jackson i Szafa wylądowali w końcu przy stoliku w cieniu drzewa. Strażacy pozamawiali chyba wszystko, co się dało. Febe zadowolona się hot-dogiem z musztardą i surówką z białej kapusty oraz dużym kubkiem lemoniady. Miała czas, by się delektować jedzeniem, bo mężczyźni zaczęli się prześcigać w zabawianiu jej na zmianę historyjkami strażackimi. Nawet śmiertelne zagrożenie traktowali z lekkim sercem. Rany i oparzenia przedstawiali jako „niewygody” albo okazje, żeby dostawać wypłatę za nic. Do strachu się przyznawali, ale jednocześnie podkpiwali z niego.

- Przestań! - błagała Febe. Jackson właśnie skończył opowiadać anegdotkę o wezwaniu na numer alarmowy 911, kiedy chodziło o zderzenie cysterny pełnej czekoladowego syropu z ciężarówką wyladowaną skrzyniami gęsiego puchu. Doprowadził ją do tak niepohamowanego śmiechu, że zabrakło jej powietrza. Łzy rozbawienia spływały jej po policzkach. - Proszę, już dość!

- No, chłopie! - zaśmiał się Szafa po przeciwnej stronie stołu. - A pamiętasz, jak Chuckie Fremont dostał się do wszystkich lokalnych wiadomości wieczornych?

Jackson podał Febe chusteczkę do otarcia rąk. Ich palce zetknęły się przelotnie. Nie pomogło jej to odzyskać oddechu. Coś w niej się ścisnęło.

- Tak, i nawet na pierwszej stronie „Atlanta Constitution”

- powiedział Jackson. Nieco głębszym głosem, niż miał przed chwilą. Błękit jego oczu był trochę ciemniejszy. - Wyglądał jak wytarzany w smole i...

- Niech zgadnę - przerwał im znienacka dźwięczny głos

- nasi najzabawniejsi strażacy torturują tę biedną kobietę historyjką o Chuckie Fremoncie i czekoladowym syropie.

Sprawczynią przerwy była kobieta o najbardziej uderzającej urodzie, jaką Febe kiedykolwiek widziała. Miała około pięciu stóp wzrostu i wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Pełne usta, ciemne, krótko przycięte włosy i kawowy odcień skóry zdradzały afrykańskie pochodzenie. Ale była w niej i domieszka innych ras. Nos był władczo wąski, kości policzkowe elegancko kanciaste. Oczy, świecące jak złote topazy, były lekko skośne w górnych kącikach.

Miała na sobie ciasno ściśnięty paskiem kombinezon bez rękawów, podkreślający zgrabną, wysportowaną sylwetkę. Obręcze z kutego metalu zwisały jej z uszu. Wyglądała jak wycięta ze stronic „Vogue”. Febe, ubrana w szorty, tenisówki i gładki pulower, od razu poczuła się zaniedbana.

- Siostrzyczka Carew - rzekł Szafa pełnym podziwu głosem, wstając.

- Witaj, Keezia. - Jackson wstał również.

Keezia Carew? przemknęło Febe przez myśl. To jest Keezia Carew?

- Myślałem, że ciągle jesteś z mamą w Memphis - powiedział Szafa.

- Przyjechałam dziś w nocy.

- Mama już lepiej się czuje?

- Na tyle lepiej, że zaczęła zamęczać mnie o to, kiedy wreszcie pójdę po rozum do głowy i ustatkuję się u twego boku - odparta Keezia nonszalancko. A potem przeniosła wzrok na Febe i zapytała:

- Doktor Febe Donovan, jeśli się nie mylę?

Febe gapiła się na nią w milczeniu. Co jest grane? Czy Jackson uczynił ją bohaterką kolejnej kursującej po posterunku opowiadki?

- Tak - rzekła po chwili. Wzięła głęboki oddech, pomna zawodowej wiedzy. - A pani jest na pewno Keezia Carew, strażaczka.

Keezia wyglądała na szczerze zdumioną. A nawet jakby podejrzliwą. Topazowe spojrzenie przeniosło się na obu strażaków.

- Czy ktoś mnie obmawiał za plecami? - spytała władcym tonem.

- Nie ja - Szafa potrząsnął głową.

- Ja też nie - zaprzeczył Jackson i spojrzał na Febe. - A skąd ty...?

- To Lauralee - rozwiąła wątpliwości Febe. Poczwała nagle pewną sympatię do Keezi. Nie miewała nigdy przyjaciółek, ale coś jej mówiło, że teraz sytuacja się zmieni. - Córka Jacksona opowiadała mi o pani. Uważa panią za bardzo niezależną kobietę.

Nastała bardzo szczególna cisza. W końcu Szafa wymamrotał coś na kształt potwierdzenia. Ale jego ton zdradzał, że nie bardzo mu to na rękę.

Keezia roześmiała się gardłowo.

- Tak, pewnie tak można by mnie opisać - przyznała.

Przyglądała się Febe otwarcie, uniosła głowę i dodała - A wiesz co?

Założyłabym się, że ty też jesteś dość niezależna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Febe pożałowała go.

Widział to w złotym nakrapianych, szmaragdowych oczach i w różowiejącej z rozpalenia delikatnej skórze. Czuł to w kuszącym kołysaniu bioder i zapraszającym nacisku wyprężonych piersi.

- Jackson - mruknęła niskim głosem. Delikatny jak piórko dotyk koniuszków palców na nagiej skórze niesamowicie go podniecał. -
Proszę, Jackson...

Jęknął, drżąc w odpowiedzi. Serce biło mu jak młot, rwał się oddech. Był rozpalony jak nastolatek. Głębia pożądania bezsprzecznie dorosła.

Tak długo na nią czekał. Unikając zauroczenia, które trwało, odkąd tylko ją ujrzał. Zaprzeczając pragnieniu, które rosło i rosło z

upływem czasu. Pewnie postępował głupio, ale wstrzemięźliwość wydawała mu się właściwą rzeczą.

A teraz...

Zatopił twarz w jedwabistej grzywie płomiennorudych włosów, potem przesunął ustami po perlistym od potu łuku jej brwi. Zasypał twarz kobiety pocałunkami, docierając w końcu do ust. Poddała mu się z płytkim, raptownym westchnieniem. Otoczyła jego szyję ramionami. Poczul palce wsuwające się w jego włosy powyżej karku.

Tak, pomyślał, pieszcząc ją od ramion do talii, od talii do ramion. Oj, tak!

- Febe - wyszeptał chrapliwie - Febe... kochana...

Dosyć czekania. Czas nadszedł. Przecież, ona pragnie go tak samo, jak on...

I wtedy to usłyszał.

Alarm.

Pożar.

Obudził się gwałtownie. Adrenalina napływała mu do żył. Przez moment był zupełnie zdezorientowany. Ciało wysyłało jeden sygnał, mózg zupełnie inny. A potem wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Czternaście lat służby i wrodzona obowiązkowość przemogły efekt najbardziej erotycznego snu, jaki pamiętał.

Alarm!

Pożar!

W mgnieniu oka wyskoczył z wąskiej koi, na której drzemał. Wbił się w kombinezon w ciągu paru sekund i ruszył na swoje

stanowisko w wozie z wyciąganą drabiną, narzucając po drodze ciężki ochronny płaszcz.

Zazwyczaj miałby u swego boku Szafę. Ale Szafa leżał powalony złośliwą odmianą grypy, grasującej na posterunku przed tygodniem. Wcześniej, przed lunchem, Jackson dzwonił, żeby dowiedzieć się o zdrowie kumpla. Keezia Carew, przypisana do zmiany C, odebrała telefon. Powiedziała, że Szafa stwierdził, że musi trochę dojść do siebie, aż poczuje się dość dobrze, by mógł umrzeć.

- Ruszać się! - ktoś ryknął.

Jackson zatrzasnął za sobą prawe drzwi i zapiął pas. Zerknął na zegarek. Siedem po czwartej. Jego zmiana przyjęła już pięć wezwań. Ostatnie przyszło koło północy. Wyjechali do płonącego samochodu.

Tym razem był to pożar wielorodzinnego domu o drewnianym szkielecie w jednej ze skromniejszych dzielnic Atlanty. Posterunkowy wóz bojowy, wiozący węże i cysternę na kilkaset galonów wody, był na miejscu pierwszy. Jak zwykle. Kierowca wozu Jacksona wcisnął hamulec i wyłączył syrenę. Jackson objął doświadczonym okiem trzypiętrowy budynek. Nie było widać dużo ognia, ale ze środka dobywały się wielkie kłęby dymu.

Jackson wyskoczył z samochodu. Miał złe przeczucia. Bardzo złe. Sprawdziły się one, gdy jedna z kilkudziesięciu kręcących się wokół kobiet zaczęła krzyczeć:

- Zostawili dziecko! Zostawili tam dziecko!

W ciągu czternastu lat służby Jackson słyszał różne warianty tego okrzyku. Ale efekt nie osłabł - Jackson poczuł się tak, jakby ktoś

potężnym kopniakiem dodał mu werwy. Ktoś zostawił bezbronną ludzką istotkę w płonącym budynku. Porzucili dziecko jak parę znoszonych butów czy zapomniany bagaż.

Przepchnął się do krzyczącej kobiety i udało mu się uspokoić ją na tyle, by wydobyć z niej bliższe informacje. A potem rzucił się w stronę budynku. Zanim dotarł, wypadło kilka okien, siejąc wkoło ostre odłamki szkła. Ogień się wzmógł, języki płomieni wystrzeliły w usiane gwiazdami niebo.

Jackson pamiętał statystyki. Wiedział, że większość wypadków z ogniem miała miejsce między jedenastą wieczór a szóstą rano, kiedy ludzie spali. Wiedział, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć ofiary umierały na skutek zaczadzenia, zanim ktoś wezwał straż.

Ale zawsze była szansa...

Wcisnął się przez okno do pokoju, który wyglądał na dziecinny. Natychmiast ogarnął go dym. Pochylił się nisko, przytulony do ściany, i zmusił się, by oddychać tak normalnie, jak tylko dało się w masce. Nic nie widział. Zaczął obchodzić pomieszczenie dookoła, trzymając się ściany lewą ręką, a prawą macając wokół siebie. Nic.

Kawałek dalej...

Przez chwilę sądził, że natrafił na dziecko, czując jak rękawica zaciska się wokół czegoś, co było chyba szczupłą, drobną kończyną...

- Mama - powiedziała lalka, którą właśnie chwycił. - Mama.

Jackson odrzucił zabawkę z przekleństwem i ruszył dalej. I zaraz wpadł na jakiś mebel, chyba stół. Przesunął dłońmi pod nim i po nim, wciąż z iskierką nadziei. Nic.

Szedł dalej, czując, że dzieje się coraz goręcej. Zerknął do góry i dostrzegł złotoczerwony blask. Sufit zajmował się ogniem.

Prawdopodobieństwo, że się zawali, było bardzo duże. Ale Jackson szedł dalej, badając dłońmi każdy skrawek podłogi, cal po calu...

Uderzył się o kolejny mebel. Nie od razu zorientował się, że to łóżeczko dziecięce. Szepcząc modlitwę, powstał i przechylił się nad szczelkami. Schylenie się i sięganie do łóżeczka to odruch nabyty, powtarzany niezliczoną ilość razy, gdy Lauralee była niemowlakiem.

Żyj, powtarzał w myślach. Błagam, żyj!

I wtedy je odnalazł. Ale gdy tylko podniósł maleńkie, owinięte kocykiem ciało i przytulił je do piersi, wiedział... z mrozącą krew w żyłach pewnością...

Ale tymczasem nie wiedział wszystkiego. Na „wszystko” musiał poczekać, aż wydostanie się na zewnątrz. Aż wykona bezowocne, dziesięciominutowe sztuczne oddychanie. Aż jeden z techników medycznych każe mu przestać, bo nic już nie będzie w stanie zrobić. Ani on, ani ktokolwiek inny.

Martwa dziewczynka, którą Jackson wyniósł z płonącego mieszkania, była jasnowłosym, niespełna dwuletnim brzdącem. Jak wynikało ze słów młodej matki, która wyrosła nagle u boku Jacksona i wyrwała mu z rąk nieżywe dziecko, na imię miała Anne. Anne... przez „e”.

Jackson pożądał jej. Febe widziała to w lśnieniu tych cudownych błękitnych oczu i w rumieńcu seksualnego podniecenia, który

malował się na jego twarzy. Czowała to w każdym ruchu silnie umięśnionego ciała.

- Febe - wymruczał aksamitnym głosem. Poczwała ciepło jego oddechu na skórze. Stwardniałe od pracy dłonie otoczyły wrażliwe łuki jej nagich piersi. Drażnił kciukami ich nabrzmiące koniuszki, wzbudzając w niej falę rozkoszy.

- Febe, kochanie...

Podniecona jak nigdy wcześniej, odpowiedziała własną prowokacją. Badała go zręcznymi palcami, przejawiając zaborczość, która zdawała się być zupełnie obca jej naturze.

Ich usta spotkały się i połączyły w długim, powolnym pocałunku.

- Jackson - jęknęła, wyprężając się ku niemu. Jasne włoski, kłębiące się na szerokiej piersi, drażniły jej sutki. Przesunęła po nich dłońmi.

- Och, Jackson... tak...

Jeszcze niedawno z tym walczyła. Szczerze się opierała. Uzbroidła się w okazały arsenał „nie mogę”, „nie powinnam”, „nie chcę”. Ale czas opierania się minął. Bariery runęły. Już dłużej nie mogła tłumić w sobie pożerającego ją głodu. Wszystkie zmysły i instynkty mówiły jej, że ten mężczyzna jest przeznaczony...

Drrrrrrń.

Co?

Drrrrrrń.

Telefon?

Wyrwała się z głębokiego snu. Jej serce waliło jak oszalałe, myśli się rwały. W pierwszej chwili nie była pewna, czy już się obudziła. Ale natarczywy dzwonek telefonu przywołał ją do rzeczywistości.

Obróciła się i sięgnęła niezgrabnie po bezprzewodowy telefon, leżący na stoliku przy łóżku. Ręka jej drżała. Czuła wyraźnie pulsowanie między udami. Ona... i Jackson Miller... razem...

To był tylko sen! tłumaczyła sobie.

Owszem. Ale jako psychiatra wiedziała aż nadto dobrze, że takie sny były często odzwierciedleniem tkwiących głęboko...

- Halo? - burknęła do słuchawki. Nie miała czasu na analizę własnej podświadomości.

Telefon milczał.

- Halo! - powtórzyła siadając, odrzuciła kosmyk włosów z twarzy. Minęła dziewiąta. Normalnie byłaby na nogach już od dwóch godzin, ale późnym wieczorem miała pilne wezwanie do jednego z pacjentów i mogła położyć się spać dopiero przed świtem. A jak już zasnęła...

- Febe? - odezwał się zachrypnięty głos, jakby celowo zniekształcony. Febe zeszywniała. Niejeden raz w życiu odbierała telefony od zboczeńców.

- Kto mówi? - spytała ostro. Ktoś z trudem wciągnął powietrze.

- Szafa Randall.

- Szafa? - Febe znalazła się nagle w uścisku strachu. Przez dwa tygodnie, jakie minęły od zawodów strażackich, poznała przyjaciela

Jacksona całkiem dobrze, ale nie na tyle, by wydzwaniali do siebie, żeby pogadać. Mogła wyobrazić sobie tylko jedną przyczynę, dla której Randall mógłby do niej dzwonić w niedzielę o dziewiątej rano.

- Masz straszny głos!

- Dopadł mnie jakiś... - Febe usłyszała kaszel - ...paskudny bakcyl.

Febe odprężyła się lekko.

- Współczuję. W szpitalu też krąży wirus.

- Tak, mogło być gorzej. - Szafa znów zakaszłał. - Febe, dzwonię, żeby zapytać, czy nie ma u ciebie Jacksona?

Fala gorąca ogarnęła ją całą. - Zaparło jej oddech. Ale zdołała zapytać.

- To znaczy... ze mną? Tutaj?

- No.

Przełknęła konwulsyjnie ślinę i zwilżyła wargi czubkiem języka.

- Nie - pokręciła głową. - Jacksona tu nie ma. A dlaczego chciałeś...?

- Nie wiesz, czy wrócił już z pracy do domu? - przerwał jej, zanim dokończyła pytanie.

Natarczywe pytania Szafy wzbudziły jej niepokój. Prysło zażenowanie.

- Nie wiem - powiedziała, czując, że ramiączko nocnej koszuli - tej jedwabnej, morelowej, kupionej razem z Lauralee - zsuwa się jej w dół ramienia. Poprawiając ramiączko, spytała - Czy coś się stało?

- Nie jestem... - Febe znów usłyszała kaszel - ...nie jestem pewien. Wczesnie rano przyjęli wezwanie do pożaru mieszkania. Była ofiara. Mała dziewczynka. Jackson znalazł ją, wyniósł. Nie było śladu obrażeń, ale dziecko zmarło. Pewnie zatrucie dymem.

- O mój Boże... - wyszeptała Febe zdjeta przerażeniem.

- Wezwano Keezię na zastępstwo, bo chyba połowa posterunku leży chora na grypę. Zadzwoiła do mnie z wiadomością. Powiedziała, że Jackson był wstrząśnięty. Widziała go przy wymianie zmian. Kapitan wspominał, żeby porozmawiał z naszym psychologiem, ale Jackson odmówił i pojechał dokądś. Myślałem, że może wpadnie po drodze do mnie, ale...

Febe odrzuciła pościel i wstała z łóżka. Ochryply głos Szafy zamilkł.

- Próbowałeś go odszukać? - zapytała i ruszyła przez sypialnię.

- Od wpół do ósmej wykręcam jego numer co kwadrans. I ciągle słyszę tylko automat. - Rozległo się potężne kichnięcie. - Kurde, jak ja tego nienawidzę!

- A co z jego matką? - Febe szła szybko do dużego pokoju, którego okna wychodziły na podjazd. Być może Jackson był w domu, tylko nie odbierał telefonów. - Kontaktowałeś się z nią?

Nie było odpowiedzi.

- Szafa?

- Nie sądzę, żeby poszedł z czymś takim do matki - rzekł po chwili wahania. Odpowiedź cicha i zagadkowa, ale Febe nie miała odwagi drażnić tematu.

Odsunęła zasłony w salonie i wyjrzała na zewnątrz. Niepokój wzmógł się, aż zacisnęła dłoń na aparacie.

- Szafa? - spytała po chwili, opuszczając zasłony na miejsce.

- Wciąż jestem.

- Nie widzę jego samochodu. Zawsze parkuje przed domem.

- O rany!

- Szafa, czy ty myślisz, że... - Zamilkła, nie chcąc wypowiadać na głos tego, czego się obawiała. Jackson Stuart Miller należał do najsilniejszych, najrozsądniejszych ludzi, jakich spotkała. Ale jako psychiatra wiedziała, że nawet najtwardsi faceci mogą ulec słabościom, nawet najmocniej stojący na ziemi bywają wytrąceni z równowagi.

- Nie wiem, co myśleć. Może... może sobie po prostu jeździ i próbuje dojść z tym do ładu. A może poszedł do kościoła. Ja bym tak zrobił - Szafa wydał chrapliwe westchnienie. - Trafi do domu prędzej czy później. Zadzwoń do mnie, jak przyjedzie? Mój numer...

- Poczekaj - Febe rozejrzała się za czymś do pisania. - W porządku, mów.

Zapisała siedem cyfr, podanych głosem tak zachrypniętym, że aż się zaniepokoiła.

- Byłeś u lekarza?

- Tak - wysapał Szafa - dał mi antybiotyki. A Keezia ugotowała mi cały gar rosółu wedle receptury jej mamy. Jedno albo drugie postawi mnie na nogi.

- Dbaj o siebie. - Febe przeczesła włosy palcami. Gardło miała ściśnięte. W końcu poprosiła: - Szafa, jeśli czegoś się dowiesz o Jacksonie...

- Dam ci znać, Febe. Dam ci znać.

Nie było sensu wracać do łóżka. Dopóki nie dowie się, co się dzieje z Jacksonem, nie będzie mogła zasnąć. Zamknęła oczy na chwilę.

Usłyszała dźwięk silnika. Rzuciła się do okna i wyjrzała. Zobaczyła tylko samochód kombi po drugiej stronie ulicy. Zwilgotniały jej dłonie, poczuła się słabo. Dopiero po chwili zebrała się, by pójść do łazienki. Umyła zęby, obmyła twarz zimną wodą. Odbicie w lustrze nie wyglądało najlepiej. Miała ziemistą cerę i podkrążone oczy.

Szafa Randall był mocno zaniepokojony. Myślał, że Jackson przyjdzie do niego po pociechę. A jeśli nie do niego, to do niej. A co, jeśli...

O Boże, a co jeśli...

Stłumiony warkot silnika zwrócił jej uwagę. Spięła się cała, podniosła głowę i wstrzymała oddech. To samochód Jacksona! To musi być on! Musi!

Szlafroczek od nocnej koszuli wisiał na haczyku. Porwała go po drodze, biegnąc do drzwi. Nie traciła czasu na wyglądanie przez okno. Otworzyła zamki, szarpnęła drzwi i wyszła prosto w słoneczny blask rozczulająco pięknego sierpniowego poranka.

Jackson zbliżał się do schodów wiodących na ganek. Sprężysty zwykle i mocny krok ustąpił miejsca ciężkiemu człapaniu. Jasnowłosa głowa spuszczone była ku ziemi, ręce wciśnięte głęboko w kieszenie mundurowych spodni. Potężne plecy zgarbiły się jakby w oczekiwaniu na cios.

- Jackson? - spytała Febe nieśmiało. Poczła kropelkę potu spływającą jej po plecach między pośladki.

Jackson zatrzymał się gwałtownie, sztywniejąc momentalnie. Po sekundzie czy dwóch podniósł głowę. Febe wstrzymała oddech, próbując ukryć szok, jakiego doznała na widok jego twarzy. Wyglądał na zdruzgotanego. Skóra napięła się mocno na wydatnych kościach policzkowych, usta zaciśnięte były w wąską, bladą kreskę. A jego oczy... Boże, jego oczy! Były martwe, ciemne jak ołów. Uciekło z nich całe życie, zgasło błękitne światło.

- Zimno mi, Febe - powiedział głosem tak pozbawionym wyrazu, jak jego oczy. - Tak mi cholernie zimno.

Emocja zbyt silna, by dała się stłumić, kazała Febe wyciągnąć ku niemu rękę.

- Wejdz ze mną do środka - poprosiła cichutko. - Pomogę ci się ogrzać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W pewnym momencie - Jackson nigdy potem nie potrafił określić, kiedy - wszechogarniający chłód ustąpił miejsca niepowstrzymanemu żarowi życia. Zanim to się stało, wyrzucił z siebie całą historię śmierci dwudziestomiesięcznej dziewczynki, która miała jasne włosy jego córki i imię jego zmarłej żony. Siedział na tapczanie Febe z zaciśniętymi pięściami, patrząc gdzieś w przestrzeń, i mówił, mówił, mówił, niemal do utraty głosu.

Zapadła potem długa, bardzo długa cisza. Miał dość czasu, by przemyśleć to, co powiedział w pełnym złości i cierpienia monologu. I dość czasu, by pomyśleć o kobiecie, do której mówił.

A z tymi myślami wróciły wspomnienia.

Erotyczny sen. Gorący pocałunek. Niewytłumaczalne uczucie przeznaczenia. I jeszcze słowa: „Wejdz ze mną do środka. Pomogę ci się ogrzać”.

Zmienił gwałtownie pozycję, czując nagły ucisk w lędźwiach. Spojrzał na Febe, siedzącą w fotelu po lewej. Odchrząknął. Podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie. Podejrzane lśnienie pojawiło się w zielonych oczach. Czy dzięki przeszkoleniu lub wrodzonemu opanowaniu umiała tak dobrze maskować swoje emocje? Czy może wycofała się za barierę zawodowego dystansu, gdy on odsłonił się i wypruwał sobie flaki? Czy traktowała go jak swojego pacjenta?

- Przepraszam cię - powiedział głosem dziwnie brzmiącym dla niego samego. Szorstkim i surowym, jakby dym zniszczył mu gardło.

- Przepraszasz? - Febe zamrugła powiekami. - Za co? Zrobił gest dłonią.

- Że obarczam cię tym wszystkim. Nie miałem prawa....

- Miałaś całkowite prawo - przerwała mu - to ja cię zaprosiłam i prosiłam, żebyś opowiedział mi, co się stało. Nie musisz przeproszać.

Znowu zapadło milczenie. Ucisk w kroczu Jacksona wcale nie zelżał. Wręcz przeciwnie, wstał więc i stwierdził, że musi już iść.

Febe też się podniosła. To sprawiło, że morelowy jedwab załśnił i zaszeleścił. Jackson uświadomił sobie nagle, że pod kaskadą luksusowego materiału kryje się kobiece ciało. Krój długiej do ziemi szaty był skromny, ale tkanina spływała, czule niczym dotyk kochanka, po wszystkich krągłościach.

- Nie musisz wychodzić. Jeśli zechcesz, zrobię ci śniadanie. Jestem ci winna chyba z piętnaście śniadań.

- Nie - potrząsnął głową - nie trzeba.

Postąpił o krok do przodu. To był błąd. Dotarł bowiem do niego jej zapach - kwiatów i delikatnego kobiecego potu. Zaciągnął się tą wonią. Jego krew popłynęła szybciej, a ciało przeniknęło podniecenie.

- Zrobiłaś już dla mnie więcej niż potrzeba.

To była prawda. Ale owo „więcej niż potrzeba” to wciąż było za mało. Febe podniosła lekko głowę i spojrzała na niego. A potem zmienił się wyraz jej twarzy. Jej oczy załśniły, a źrenice rozszerzyły się. Koniuszek języka przesunął się uwodzicielsko po górnej wardze.

Nie mogąc się powstrzymać, podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie. Poczuł, jak przebiegł ją dreszcz. A potem przesunął palce w górę i w dół, przesiewając czerwonozłotą grzywę. Zadrżała, gdy pogładził jej uszy, przechyliła głowę, opuściła powieki. Jackson

przesunął dłonią po delikatnej linii podbródka, a potem wzdłuż jej szczupłej szyi. Poczuł jej przyspieszony puls.

- Febe - szepnął chrapliwie, czując, jak i jego serce przyspiesza - och, kochanie...

Otworzyła usta, chcąc przemówić. Jackson schylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem. Zmieszały się ich oddechy. Wziął ją w ramiona.

Gdyby się opierała, puściłby ją. A przynajmniej tak sobie później powtarzał. Pożądanie, które ogarnęło go w chwili, gdy złączyły się ich usta, było nieporównywalne z niczym, czego do tej pory doświadczył.

Ale Febe nie opierała się. Przez mgnienie oka stężała z zaskoczenia, ale potem rozplynęła się cała, jej ciało dopasowało się do niego, jakby do tego właśnie było stworzone. Jej usta rozchyliły się pod naciskiem jego warg.

Jackson zsunął dłonie w dół pleców Febe, chwytając ją, przyciągając bliżej. Przysunęła się pierwotnym i prowokującym węzowym ruchem bioder. Poczuł, że jego ciało twardnieje, w reakcji tak podstawowej dla ludzkiego życia.

Po kilku chwilach Jackson poniósł ją do sypialni. Wkrótce oboje byli nadzy, nie wiedząc nawet, kto kogo rozebrał. Nagie piersi Febe były drobne i pięknie ukształtowane, sutki nabrzmięły z podniecenia. Nie mógł zignorować tego zaproszenia. Pogładził palcami sterczące czubeczki. Pluszowy aksamit aureolek zmienił się pod pieścizotą w usianą kropkami satynę.

Pochylając głowę, Jackson dotknął jej piersi językiem. Sutka stwardniała pod pieszczotą. Febe wygięła się w łuk, powtarzając jego imię urwanym oddechem, gdy wziął jej pierś w usta. Chwiejąc się jak trzcina na wietrze, chwyciła go za ramiona. Szczupłe palce zaciskały się na ramionach mężczyzny, paznokcie wbijały się w jego skórę.

Aż wreszcie, wodząc językiem wrócił do jej ust, czuł, że ręce Febe błądzą gwałtownie po jego ciele, drapiąc aż do krwi.

- Febe - wyjęczał - O, Boże! Febe.

Opadli razem na łóżko, zaplątując się w zmiętej pościeli. Klębek ognistorudych kędziorków u złączenia jej gładkich ud był mięciutki jak puszek, skryte pod futrzastym trójkątem ciała jeszcze delikatniejsze. Jackson pieścił różowe płatki fałdek z nieskończoną czułością, odnajdując najwrażliwsze miejsce. Febe zadrzała i krzyknęła cicho. Ten głos poraził go jak piorun.

- Proszę - głos Febe był ochryply. Źrenice miała tak rozszerzone, że z tęczęwek zostały jedynie zielone otoczki. - Proszę, Jackson...

Jego pożądanie było jak żywioł. Całkowite. Wszechogarniające. Przekraczało wszystko, co znał do tej pory. Potrzebował jej jak powietrza czy wody. Była dla niego samą esencją życia.

Z gardłowym mruknięciem wsunął się w zapraszające ciepło jej ciała. Pierwsza chwila ich pełnego połączenia prawie już go wyzwoliła. Zesztywniał, walcząc o kontrolę.

- Nie! - Wziął haust powietrza. - Nie ruszaj się.

- Ja... - potrząsnęła głową, a delikatne rysy twarzy wykrzywiły się - nie mogę...

- Możesz.

Tylko kilka sekund! Tylko o to prosił. Jeszcze tylko kilka sekund...

Fala gorąca przebiegła przez Jacksona. Zatrząsał się jak człowiek w gorączce. Ciało i umysł płonęły rozpalone. A potem poczuł pierwsze lekkie skurcze kobiecego spełnienia, gdy jej ciało napięło się i pieściło go z nieopisaną żarliwością.

Jackson zaczął się poruszać. Głęboko. I jeszcze głębiej. Febe wygięła się w łuk, w raptownym szlochu wyrwało jej się z ust jego imię.

Cały świat stanął w ogniu.

Jackson konał... i poczuł się narodził na nowo.

Co ja zrobiłam?

Od godziny Febe zadawała sobie to pytanie. Za pierwszym razem zadała je, leżąc w uścisku silnych, męskich ramion. Jej partner spał głębokim snem, jego serce biło równo i powoli, oddech miał miarowy i spokojny. Jak człowiek pogodzony ze sobą i ze światem.

Uwolniła się z jego objęć i wstała. Jak tylko zwolniła miejsce, Jackson przewrócił się na bok i rozłożył ręce, zajmując prawie całe łóżko. Powiedział coś przez sen. Jedno słowo:

- Febe.

Na dźwięk swojego imienia poczuła rozkoszny dreszcz. Skrzyżowała ramiona na nagich piersiach i przygryzła język, chcąc stłumić mimowolną reakcję.

Co ja zrobiłam? pomyślała. Odczuła wielką ochotę, by go dotknąć, przesunąć palcami po łuku brwi, lekko skrzywionym nosie, zmysłowej linii ust... ale powstrzymała się, zmusiła do odwrócenia wzroku.

Czując się jak intruz, zaczęła zbierać z podłogi porzucone części garderoby. Wciąż spoglądała na jasnowłosego mężczyznę, śpiącego w jej łóżku. Wyjęła z szafy bawełniane majtki, dzinsy i koszulkę. Ściągnęła włosy w zmierzwioną kiteę. Na palcach wymknęła się z sypialni. Serce biło jej szybko, oddech zrobił się płytki. Wyraźnie czuła, jak materiał dzinsów opina jej wewnętrzną stronę ud, ociera skórę przy każdym poruszeniu. Nie było to nieprzyjemne uczucie, ale sam fakt ją drażnił. Przywodziło to wspomnienie twardych męskich rąk, sunących w górę jej nóg. Długich palców odkrywających sekrety jej ciała...

Przestań! nakazała sobie i rzuciła się na sofę w salonie. Oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Wciągnęła głęboko powietrze, próbując zignorować drażniąco przyjemne ciepło, które ogarnęło ją całą.

Mój Boże, co ja zrobiłam?

I odpowiedziała sobie tak samo, jak za pierwszym i każdym następnym razem.

Zakochała się! Zakochała się w Jacksonie Millerze.

Co ja zrobiłem?

Pytanie to formułowało się z wolna w zamglonym snem umyśle Jacksona razem ze świadomością, że łóżko, w którym się tak wygodnie rozpierał, nie należało do niego. Bliższe szczegóły przesączały się stopniowo do świadomości.

Był sam w cudzym łóżku.

Był sam... i leżał nagi w kłębach pastelowej pościeli, przesiąkniętej piżmowym zapachem seksu: męskiego potu i świeżego aromatu kobiecego ciała...

Zrozumienie nadeszło gwałtownie, niczym wstrząs elektryczny. Każda cząstka jego ciała przeszła z półsnu do pełnej trzeźwości. Usiadł gwałtownie. Zaatakowały go wspomnienia.

Zamknął oczy.

Boże! Z lękiem pomyślał o tym, jak się zachował! Zawsze był dumny ze swojej samokontroli, z tego, że dbał więcej o przyjemność partnerki niż o swoją. A z Febe był szybki i nieuważny, jak samolubny cham. Dał się ponieść namiętnościom. Narzucił rytm. Rozniecił pasję.

Może w ogóle wziął ją przymusem?

Zacisnął pięści, coś ścisnęło go w brzuchu i za gardło. Nie, zaprzeczył. To niemożliwe. Nie mógłby tego zrobić. Za żadne skarby. A jednak...

Otworzył oczy, odrzucił prześcieradła, wstał. Jego ubranie leżało porządnie złożone na krześle. Sięgnął po spodnie.

Co ja zrobiłem? myślał. Nie potrafił sobie odpowiedzieć. Ale wiedział, że Febe Donovan potrafiłaby znaleźć odpowiedź. Nie był

tylko pewien, czy zechciałaby... i jak by zareagował, gdyby mu jej udzieliła.

Febe wyłączyła właśnie telefon, gdy Jackson wkroczył do pokoju. Siedziała zwrócona plecami do drzwi, a on nadszedł bezszelestnie, ale wyczuła jego obecność. Miała czas, aby wziąć się w garść, zanim zwróciła się ku niemu.

Zatrzymał się kilka kroków od niej. Z tej odległości nie mógł słyszeć kołatania jej serca, za co była wdzięczna. Ale był zbyt daleko, żeby jej dotknąć. Reakcja Febe wahała się między ulgą a rozczarowaniem.

Znamionujący załamanie wyraz twarzy, jaki miał przychodząc do domu, ustąpił miejsca spokojnemu, zdyscyplinowanemu obliczu. Blask powrócił do jego oczu, chociaż widziała chyba w ich głębiach pewną ostrożność. Jackson znów był sobą, stwierdziła po chwili.

Ale czy na pewno?

Im dłużej mu się przyglądała, tym bardziej wydawał się jej odmieniony. Ale może to ona postrzegała go teraz w inny sposób? Nigdy nie podpisywała się pod starą sentencją, że miłość jest ślepa, ale wierzyła, że miłość potrafi zupełnie zmienić sposób widzenia świata.

Może miało to coś wspólnego ze zmierzwionymi włosami i pogniecionym ubraniem. Albo z nietypowym przestępowaniem z nogi na nogę. Ale wyczuwała w nim aurę niepewności - nie, raczej aurę wrażliwości. Nigdy wcześniej tego w nim nie było.

Oczywiście, nie był wcześniej niezłomny. W tym sensie, że załamał się, na krótko, pod ciężarem żalu i poczucia winy. Ale ta wrażliwość, która z niego teraz emanowała, była... jakaś taka... była... Mimo psychiatrycznego wykształcenia Febe mogła jedynie powiedzieć, że była inna.

- Cześć - odezwała się w końcu.

- Cześć - odpowiedział.

- Rozmawiałam z Szafą - oznajmiła. - Dzwonił wcześniej.

Usłyszał, co się stało w pożarze.

- Od Keezi? - Jackson nie był zdziwiony.

- Tak - odłożyła aparat. - Dzwoniła do niego. Szafa myślał, że może do niego wpadniesz. Jak nie wpadłeś, no to...hmm...

- Pomyślał, że przyjdę do ciebie - powiedział to bardzo cicho, ale z takim napięciem, że serce Febe gwałtownie biło.

- Martwił się - mówiąc, bawiła się skrajem koszulki. Czują, jak sutka uwydatnia się przez cienki materiał. Pożałowała, że nie włożyła stanika. - Obiecałam, że dam mu znać, jeśli... kiedy... przyjedziesz do domu. Powiedziałam, że wszystko z tobą w porządku.

Zawahała się, próbując odczytać coś z jego twarzy. Bezskutecznie. Pochyliła się i spytała:

- Wszystko w porządku, prawda?

- Czuję się lepiej. - Przez parę sekund Jackson wpatrywał się w nią natarczywie. Na moment spuścił wzrok, potem znów spojrzał jej w twarz. - A ty?

- Ja? Co ja...?

Postąpił do przodu, zmniejszył dystans między nimi.

- Wszystko u ciebie dobrze?

Zamrugła powiekami zaskoczona pytaniem. Czy coś podejrzewał? Czy jakoś zdradziła się ze swoimi myślami?

- Febe?

- Tak - powiedziała szybko, przywołując na twarz uśmiech. -
Wszystko w porządku.

Podszedł jeszcze o krok. Sztywny, spięty, jakby obawiał się zbyt do niej zbliżyć. Ale dlaczego?

- Nie... - Zamilkł, jakby szukał właściwych słów - ...nie skrzywdziłem cię?

Szok był zbyt wielki, by zdołała go zamaskować.

- T-ty? - wyjąkała. - Miałbyś skrzywdzić... mnie?

- Tak czy nie? - spytał ostro.

- Nie! - potrząsnęła głową, a koński ogon obił się o jej ramiona. -
Jak ty możesz...?

- Jak mogę? - w oczach Jacksona gorzała złość na samego siebie.
- Nie prosiłem, żebyś się ze raną kochała. Nie dałem ci szansy, byś powiedziała „tak” lub „nie”. Po prostu to zrobiłem! Nie pomyślałem wcale, żeby zadbać o ciebie!

Febe spojrzała na niego oszołomiona. Powtórzyła jego słowa w myślach kilka razy. Nie „zadbał” o nią? Co on chciał powiedzieć? Że nie udało mu się zadowolić jej w łóżku? Niemożliwe!

- Jackson - zaczęła - gdybyś „zadbał” o mnie jeszcze trochę bardziej, rozniosłoby mnie na milion kawałków.

Reakcja kochanka na tak śmiało stwierdzenie faktu nie była łatwa do opisanego. Z początku jakby niczego nie usłyszał. Potem się zarumienił. Dostrzegła szereg emocji malujących się na pociągłej twarzy. W jednej chwili osłupiał, w drugiej był niezmiernie mile połączony.

W końcu odchrząknął, lekko zarumieniony.

- Mówię o tym, że nie użyłem żadnych środków ochronnych - wyjaśnił cicho.

- Biorę pigułki - zmusiła się, by patrzeć mu w oczy. - Więc nie musisz się martwić antykoncepcją. A co do innych obaw... cztery miesiące temu, zanim podjęłam pracę w szpitalu, przeszłam kompletne testy fizyczne. Mam wzorcową kartę zdrowia. A ty - przełknęła z trudem - jesteś moim pierwszym mężczyzną od tamtego czasu.

W rzeczywistości był pierwszym od śmierci jej narzeczonego. Ale nie była jeszcze gotowa, by się do tego przyznać. Jeszcze nie teraz. Później też raczej nie.

- Parę tygodni temu oddawałem krew. - Nie dał poznać po sobie reakcji na ostatnie jej słowa. - Badania nie wykazały żadnych paskudnych wirusów.

Patrząc na niego odetchnęła głęboko.

- No to - powiedziała w końcu - wszystko w porządku.

- Tak?

- Tak.

- Nie powinniśmy porozmawiać o tym, co między nami zaszło?

- A co właśnie robimy?

Zmrużył oczy i założył ręce na piersi.

- Chcesz powiedzieć, że wyczerpaliśmy temat?

- Musimy spojrzeć na to z właściwej perspektywy.

- To znaczy?

- To znaczy, zachowałeś się tak w konkretnych okolicznościach.... To musiało być dla ciebie straszne. Wyglądałeś jak cień śmierci. Musiałeś to jakoś odreagować - zamilkła, przestraszona nagłą zmianą w jego twarzy. Wyglądał teraz tak, jakby otrzymał śmiertelny cios.

- Poszłaś ze mną do łóżka z litości?

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie i szczerze. - Oczywiście, że nie!

I nagle znalazł się nad nią, chwycił poręcz fotela, w którym siedziała, zamykając ją jak w pułapce.

- Więc co do mnie czułaś, kiedy się kochaliśmy? - rzucił szorstkim głosem, a jego rysy stwardniały. - I co, u diabła, czujesz do mnie teraz?

Prawie mu powiedziała. Prawie.

- Ja... Zależy mi na tobie - szepnęła po chwili, usiłując mówić spokojnie. - To, co się zdarzyło, to była naturalna rzecz. Nie rozumiesz? Pragnienie afirmacji życia w obliczu śmierci. Bardzo silny ludzki impuls. Sposób na poradzenie sobie z oddechem śmierci mrozącym kark. Dziś rano, po tym pożarze, potrzebowałeś kogoś!

Przerwał jej prostym sposobem, kładąc jej palce na ustach. Czulość dotyku wywołała w niej dreszcz od stóp do głów.

- Nie - zaprzeczył - potrzebowałem ciebie, Febe. Nie kogoś. Tylko ciebie. Ale potrzeba i pragnienie nie zrodziły się dzisiaj - mówił dalej, a jego palec wędrował w dół po jej szyi. - Bo jeśli mowa o silnych ludzkich impulsach... - potrząsnął głową. - Nie mogę powiedzieć, że żyłem w celibacie przez ostatnie cztery miesiące. Ale nie tknąłem innej kobiety od chwili, w której zemdląłeś w moich ramionach, kochanie.

Bezwiednie wymówiła jego imię.

- Ty też czułaś to od początku, prawda? - zmienił rodzaj pieśczoły. - I czujesz to teraz.

Febe odwróciła twarz. Musiała. Bała się, że zbyt wiele wyczyta w jej oczach. Tak, czuła to! Gorącą, słodką świadomość. Powolne, zmysłowe roztopianie się. Potrzebę. Pragnienie. I więcej. Wiele więcej, aż do bólu.

- Sądziłam, że ty myślałeś, iż związek ze mną spowoduje komplikacje - powtórzyła stwierdzenie Lauralee, rzucone przed miesiącem przy talerzyku z ciastem. Jackson stężał natychmiast, jego dłoń znieruchomiła.

- Pewnie miałem rację - rzekł ze smutnym uśmiechem - ale skoro pewien komplikujący czynnik zniknął aż do końca wakacji...

- Nie jestem... pewna, czy jestem na to gotowa - rzekła w końcu. To była prawda. Nie cała prawda, z pewnością.

- Ja też nie wiem, czy jestem na to gotowy. Cokolwiek „to” oznacza. Ale chcę się dowiedzieć. W tylko jeden sposób. Razem z tobą. Nie bój się, Febe - rzekł cicho.

Mimo to bała się. Była przerażona. Ale nie mogła się powstrzymać od przyjęcia tego, co jej ofiarowywał.

Splotły się ich dłonie. Chwilę potem silne palce Jacksona schwyciły ją za nadgarstki. A potem podniósł ją i uwięził w uścisku. Podniosła głowę.

- Kochanie - mruknął niskim tonem. - Och, kochanie...

Pochylił się i pocałował ją. Tym razem powoli, podniecająco. Pieścił i zachęcał tak długo, aż Febe gotowa była oddać mu wszystko, czego pragnął, a nawet więcej.

- J-Jackson - wyszeptała, gdy przerwał pocałunek. - Och, Jackson...

Podniosła rękę, by pogłaskać go po twarzy. Szorstkie igielki zarostu zadrapały lekko skórę jej dłoni. Musnęła końcami palców jego wargi. Rozchyliły się. Poczowała na palcach mgiełkę oddechu, a potem pieścizotliwe liźnięcie.

Febe już drżała z niecierpliwości, nim błędzące męskie ręce dotarły do jej piersi. Objął je delikatnie, otoczył twardymi, spracowanymi dłońmi, bardzo powoli sunąc kciukami ku wyprężonym sutkom. Wykrzyknęła, gdy dotarł do celu. Pierwsze wrażenie było tak silne, że odczuła je prawie jak udrękę.

Pocałowali się znowu. Głęboko. Zachłannie. Zsunęła rękę z jego muskularnych ramion i rozpięła mu koszulę. Rozsuwając niecierpliwie jej poły, zaczęła wplątywać palce w jedwabiste włosy porastające męską pierś.

Więcej pocałunków! Więcej pieścizot!

Atramentowej barwy koszula Jacksona sfrunęła na podłogę. Koszulka Febe podążyła za nią wraz z gumką do włosów. Splątana grzywa opadła na szyję Febe i nagie ramiona.

- Cudowna - powiedział Jackson głucho. - Jesteś taka cudowna...

I wtedy z nieopisaną męską gracją, która była jego nieodrodną cechą, padł przed nią na kolana. Oszołomiona, niemal nieprzytomna z emocji, dopiero po chwili zorientowała się w jego intencjach. Zdażył do tego czasu rozpiąć jej spodnie i zsunąć je w dół wraz z majtkami.

Jako trzydziestoczteroletnia lekarka-psychiatra, Febe Donovan nie była ani niewinna, ani nieświadoma. Ale jej osobiste doświadczenia seksualne były dość ograniczone. Jeszcze nigdy... nigdy wcześniej...

Dłonie Jacksona powędrowały od kolan w górę, dopasowując się do krągłości jej pośladków. Wzmógł uścisk. Pociągnął ją ku sobie.

- Jackson... - zakwiliła.

Przycisnął usta do jej brzucha, zagłębił język w płytkim wgłębieniu pępka. Mięśnie Febe zareagowały napięciem. I rozluźniły się gwałtownie, gdy zaczął wycelowywać ścieżkę wiodącą w dół jej podbrzusza.

- Jackson! - powtórzyła. Podniósł głowę.

- Pozwól mi, kochanie - rzekł szorstko. - Pozwól mi.

Febe zamknęła oczy i uczyniła, o co ją prosił. Ciepło oddechu na skórze po wewnętrznej stronie ud... Dotknięcie ust na trójkątnym wzgórku... Powolne pociągnięcie językiem...

Brakło jej oddechu, a jej ciało wyprężało się w instynktownej, niepowstrzymanej reakcji. Jackson dostarczał jej rozkoszy z prawdziwą szczodrością. Jego pieszczoty były działaniem doświadczonego mężczyzny, miał nienaganne wyczucie rytmu. Umiał podsycić jej zdolność erotycznej reakcji w niesamowitym stopniu.

Ale przyjemność nie dzielona z partnerem nie dała jej satysfakcji. Febe otworzyła oczy. Sięgnęła w dół do czupryny Jacksona. Podniósł na nią wzrok. Szczupła twarz promieniała, błękitne oczy jarzyły się blaskiem, który widywała dotąd tylko w snach.

- Bądź ze mną - wyszeptała Febe. - Bądź ze mną. Powoli dźwignął się na nogi. Zatoczył się lekko, ale zaraz złapał równowagę.

- Febe...

Oswobodziła się z reszty ubrania i odrzuciła je kopnięciem.

- Proszę...

Nie musiała powtarzać.

Jakoś dotarli do sofy. Jakoś udało się Jacksonowi rozpiąć i zrzucić spodnie. Widok prężącej się męskości przeniknął Febe gwałtownym dreszczem. Sięgnęła ku niemu. On zbliżył się do niej. Opadli na kanapę.

Febe poczuła nacisk jego kolana między udami. Rozwarła je. Pragnęła Jacksona. Potrzebowała. Kochała.

- Już - ponagliła go.

Jackson wszedł w nią, wślizgując się w głąb ciała, jakby tam właśnie był jego dom. Posiadając i będąc posiadany. Febe unosiła

biodra. Nieważne było, które z nich narzuciło rytm. Byli zupełnie, całkowicie zestrojeni.

- Febe...

Czuć jego żar. I twardość. Słyszeć chrapliwy oddech i łomoczące bicie jego serca. Wiedzieć, że to właśnie ona doprowadziła go do tego stanu. Boże, to było prawie nie do zniesienia!

- Jackson! - Spojrzała na szczupłą, usianą kropelkami potu twarz. Zamglone rozkoszą oczy na wpeł przysłoniły ciężkie powieki. - Och, Jackson!

Razem osiągnęli szczyt. To był żar. To było spełnienie. To był akt odwagi, narzucony przez miłość.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilkakrotnie w ciągu następnych dni Febe była bliska podzielenia się z Jacksonem swoimi obawami. Ale nigdy nie znalazła właściwej drogi. Jednym z powodów tego wahania była niemożność powiedzenia wprost: „Jackson, masz niebezpieczną pracę i boję się o ciebie”. Bo musiałyby mu również powiedzieć, że boi się także o siebie samą. Że tak bardzo go pokochała, że nie chciałyby go stracić, jak straciła ojca i narzeczonego. Jak Jackson Stuart Miller, strażak kontynuujący tradycję pięciu pokoleń, w którego rodzinie odwaga była tradycją, mógłby zareagować na przyznanie się do takich pokładów lęku?

Febe nie wiedziała. I dlatego też milczała. Zdawało się jej, że kobiety, które były Jacksonowi najbliższe i najdroższe - żona, córka i matka - zawsze wspierały go w wybranej przezeń karierze. Gdyby ona, kobieta bez stałego miejsca w jego życiu, zaczęła kwestionować jego pracę...

Kochaj tego faceta, powiedziała sobie. Kochaj jego pracę. A przynajmniej pogódź się z nią.

- Jackson?

- Mmm?

- Nie przeszkadzało ci, że byłam wczoraj na twoim posterunku?

- Ani trochę - oznajmił i ziewnął.

Miał nadzieję, że taka odpowiedź ją zadowoli. Dzień wcześniej odwiedziła go w pracy, zwiedzała posterunek, zjadła obiad ze strażakami, a nawet przymierzała strój bojowy. Sama tego chciała, więc czemu nie miałby jej zaprosić? Ale teraz pyta o to takim głosem...

Zdażył już zauważyć, że seks rozwiązuje jej język. Niestety, jemu wcale nie... Czuł się taki rozleniwiony...

Nastąpiła długa pauza. Jackson znowu ziewnął i zmienił pozycję. Febe przesunęła się razem z nim, z miękkimi piersiami przyciśniętymi do jego torsu. Potarł ustami jej włosy, czując ich miękkość i czysty zapach. Drzemka, pomyślał. Oto czas na miłą, długą, sobotnią, popołudniową drzemkę. Powieki robiły się coraz cięższe. W końcu je zamknął.

A Febe powiedziała:

- Jackson?

Poprzednio wymawiała jego imię na wpół sennie. Tym razem głos brzmiał zdecydowanie, jakby przez parę chwil zbierała odwagę, by przemówić. Jackson otworzył oczy.

- Tak, kochanie? - zapytał z lekką niepewnością. - Czy Anne kiedykolwiek odwiedzała cię w pracy?

Zamrugnął powiekami, zaskoczony pytaniem.

- No, tak - odrzekł. - Kilka razy. Febe opuściła powieki.

- Aha.

Jackson zaczął się czuć nieswojo. Odsuwając Febe, dźwignął się do pozycji siedzącej, a potem pochylił się i zapalił lampę przy łóżku.

- Posłuchaj. Nie chcę, żebyś myślała, że Anne nie interesowała się moją pracą. Interesowała się. Po prostu woleliśmy nie mieszać tych rzeczy.

Febe również usiadła, przysłaniając się kołderką.

- Tych rzeczy?

- Pracy. I domu.

- Nie miała nic przeciwko temu?

- Oczywiście że nie - odpowiedział odruchowa Bez zastanowienia. Ale coś kazało mu się jednak zastanowić. - Nigdy nie takiego nie powiedziała - stwierdził niechętnie. - Ale gdyby chciała porozmawiać o pracy, nie opierałbym się - uczynił nieokreślony gest ręką. - Z tobą przecież dużo o tym rozmawiałem.

Krótką chwilą milczenia. Przyjrzał się wyrazowi jej twarzy, chcąc odczytać, do czego zmierza. Zamyślane, lecz badawcze spojrzenie i zmarszczka między brwiami wskazywały, że nie tam, dokąd on sam chciałby podążać.

Introspekcja nie była - teraz ani nigdy - w stylu Jacksona. Działął, nie analizował. Ale ostatnimi czasy coraz częściej łapał się na spoglądaniu w głąb siebie. To, co wtedy widział, dalekie jeszcze było od zrozumiałości.

- Czy twoi rodzice też nie mieszały pracy z życiem rodzinnym? - spytała nagle.

- Wystawisz mi rachunek za tę sesję, kochanie? - zabrzmiało to dużo ostrzej, niż Jackson zamierzał powiedzieć. Poczł się głupio, gdy Febe zeszywniała. Cholera, nie miał przecież na myśli... no, dobrze, właściwie miał. Mimo wielkiego szacunku dla profesji Febe, drażniła to myśl, że mogła ona rzutować na ich osobiste kontakty.

Szczerze mówiąc, jego rodzice bardzo wyraźnie rozdzielali te dwie dziedziny życia. I co z tego? Mieli wyjątkowo udane małżeństwo. Czy byłoby ono lepsze, gdyby ojciec przynosił surową rzeczywistość swojej pracy do domowego ogniska? Nie! Na pewno nie.

Ojciec powiedział mu raz, że po skończonej zmianie zawsze brał prysznic.

- Lepiej zostawić niektóre sprawy na posterunku – rzekł wtedy dość zagadkowo. - W domu mężczyzna powinien być odświeżony.

Jackson zrozumiał sens słów ojca dopiero wtedy, gdy sam wstąpił do straży pożarnej. Gdy zrozumiał, też zaczął brać prysznic na koniec każdej zmiany. Tylko raz zapomniał o tym rytuale. Tylko raz w całej czternastoletniej karierze. Było to sześć dni temu, po nocy, w której nie zdążył ocalić życia maleńkiej dziewczynce o imieniu Anne.

- Przepraszam, Jackson.

Nie zrozumiał od razu. Przez chwilę dociekał, za co Febe miałyby go przeproszać. A potem przypomniał sobie swoją własną uwagę i słowa, które ją wywołały. Potrząsnął głową.

- Nie, kochanie. - Wziął ją w objęcia. - To ja przepraszam.

- Wiem, że zadaję za dużo pytań - westchnęła, relaksując się w jego uścisku i kładąc mu głowę na piersi. - Ale staram się ciebie zrozumieć. A najlepiej potrafię to zrobić, zadając pytania.

Jackson pogładził ją po włosach.

- Wiem - powiedział. - Tyle że, po prostu, są chwile, kiedy mam wrażenie, że widzisz we mnie kandydata na swojego pacjenta, którego zaprosisz na skórzaną kozetkę. Taką, jakiej w powszechnym rozumieniu używają psychiatrzy.

Febe podrzuciła głowę.

- C-co? - wyjąkała, zaszokowana jego wyznaniem. - Jak ty możesz... wielkie nieba, Jackson! Jesteś jednym z najrozsądniejszych ludzi, jakich znam.

Pewność w jej głosie uderzyła Jacksona jak młot, w samo serce. Aby odzyskać równowagę, musiał uciec się do poczucia humoru.

- Jednym z najrozsądniejszych, jakich znasz, hmm? - powtórzył przekornym tonem. - Mimo że zarabiam na życie wbieganiem do płonących budynków?

Febe przyjrzała mu się uważnie. A potem się uśmiechnęła. Rozkosznie było patrzeć, jak pomału unoszą się kąciki jej ust. Ale gdy Jackson przywołał to wspomnienie kilka dni później, zdał sobie sprawę, że uśmiech nie dotarł do jej oczu. Oczy zostały poważne. Prawie... smutne.

- Tak - powiedziała niskim głosem, zarzucając mu ramiona na szyję. - To niemądre, ale moja odpowiedź brzmi: tak.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Dłoń Febe, unosząca do ust widelec z kawałkiem omletu, zawisła w powietrzu. Febe spojrzała z uwagą na uderzająco atrakcyjną czarnoskórą kobietę siedzącą naprzeciwko i spokojnie odłożyła widelec na talerz.

- Szafa poprosił cię o rękę?

- Tak. - Keezia Carew wzięła sobie z wiklinowego koszyczka kromkę chleba, połamała ją na kilka kawałków i najmniejszym z nich zaczęła wycierać z talerza sos marinara. - Trzykrotnie.

- A ty dałaś mu kosza?

Keezia skinęła głową, gryząc nasączony sosem kawałeczek chleba. Po chwili wreszcie zapytała:

- Nie masz zamiaru powiedzieć, że jestem stuknięta? Pytanie zaskoczyło Febe. Także obronny ton, jakim zostało zadane.

- A czemu miałabym tak mówić, Keezia?

- A czemu nie? - Czarnoskóra kobieta zrobiła śmieszoną minę. -
Wszyscy mi to mówią.

- No cóż, nie ja.

Keezia wpatrywała się w twarz Febe przez dobrych kilka chwil. Wreszcie jej usta wygięły się w nieco krzywym uśmiechu.

- Co za ulga! Zwykli ludzie nazywają mnie wariatką, a psychiatra z krwi i kości...

Znowu zaległa cisza. Febe zjadła swoją przystawkę.

Keezia i Szafa, no tak. Co za para!

Wyczuła, że coś się między nimi dzieje, prawie od razu, wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła ich razem na zawodach strażackich. A teraz, po prawie miesiącu...

- Zaczynasz się zastanawiać - sucho stwierdziła rozczarowana Keezia.

- Zastanawiać? - zamrugła Febe.

- Czy jednak nie jestem szurnięta.

- Nie - zaprzeczyła Febe ze śmiechem - wcale nie! Keezia wysunęła króciutko ostrzyżoną główkę.

- Ale starasz się wykoncypować, czemu mu odmówiłam. Febe wypila łyk wina.

- Jasno widać, że Szafa wiele dla ciebie znaczy - odparła, gotowa obejść temat, zamiast uderzać wprost.

Keezia zeszywniała.

- Ralph Randall jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam.

- Ale nie chcesz za niego wyjść. - Febe starała się, aby to nie zabrzmiało oskarżycielsko.

Zapadła pełna napięcia cisza. Blask w oczach Keezii zgasł.

- Tak jest - przyznała. - Nie chcę.

Keezia westchnęła i spuściła wzrok. Zaczęła bawić się nóżką swojego kieliszka.

- Gdybym miała zamiar za kogoś wyjść, byłby to Szafa - powiedziała po dłuższej chwili. - Tylko że...

Kolejne westchnienie. Dalsza zabawa kieliszkiem. Wreszcie Keezia spojrzała w oczy Febe:

- Wiesz, że jestem rozwiedziona?

- Wspominałaś coś na ten temat w zeszłym tygodniu. Keezia westchnęła po raz trzeci.

- Bo wiesz, moje małżeństwo przerodziło się w koszmar, zanim znalazłam w sobie siłę, aby odejść. Tyrell - tak miał na imię mój mąż, Tyrell Babcock - bił mnie. Bił mnie... często.

- Och, Keezia - Febe nachyliła się w jej stronę.

- Kupowałam wszystko, co wciskał mi przez prawie trzy lata - ciągnęła - włącznie z tym, że należało mi się bicie. Aż wreszcie pewnego ranka spojrzałam w lustro i ujrzałam obcą kobietę. Miała podbite oko, rozciętą wargę i wyraz twarzy, jaki spotyka się zwykle w filmach o zombie. Po paru sekundach zdałam sobie sprawę, że ta

kobieta - ta obca kobieta - to byłam ja. I, no cóż, nie wiem, jak to wyrazić, ale nagle jakiś wewnętrzny głos powiedział mi: „To nie w porządku, dziewczyno. Nie zasłużyłaś sobie na to. Nawet jeśli jesteś tak bezwartościowa, jak to w kółko powtarza Tyrell - a w głębi duszy wiesz, że to nieprawda - nie zasługujesz na takie traktowanie”.

- I odeszłaś od męża? Keezia skinęła głową.

- Spakowałam swoje rzeczy i przeniosłam się do mamy. Tyrell poszedł za mną i próbował rozrabiać, ale zadzwoniłam na policję i oskarżyłam go. Potem wzięłam sobie adwokata i złożyłam wniosek o rozwód. A także przyłączyłam się do jednej z tych grup pomocy dla maltretowanych kobiet. Pół roku później Tyrell odsiadywał wyrok za napad, a ja po raz pierwszy od długiego, naprawdę długiego czasu czułam się wolna.

- To nadzwyczajne - powiedziała szczerze Febe, rozumiejąc, jak trudno musiało być Keezi przejść taką przemianę. W pracy zawodowej nieraz spotykała się z ofiarami przemocy. Wiedziała, jakiej odwagi i siły wymaga wyrwanie się z kręgu emocjonalnej lub fizycznej agresji.

Keezia wzruszyła ramionami, najwyraźniej czując się nieswojo z powodu pochwały.

- Nadzwyczajne było to, że przez te cztery lata, odkąd stanęłam na jej progu, moja mama nigdy nie powiedziała: „Mówiłam ci, Keeziu Lorraine.” Bóg świadkiem, miała prawo tak mówić. Ostrzegała mnie, że Tyrellowi Babcockowi źle z oczu patrzy. Ale nigdy mi tego nie wypominała. Ani razu. - Keezia zrobiła zabawną minkę. - Oczywiście,

teraz przewodzi chórowi ludzi twierdzących, że jestem pomyłona, ponieważ nie chcę wyjść za Szafę.

- Aby dojść do siebie po takich przejściach, trzeba sporo czasu. - Febe powiedziała z powagą. - I tylko ty wiesz, kiedy będziesz w stanie zaangażować się ponownie...

- Wiesz, bywają chwile, gdy chcę za niego wyjść - Keezia przerwała jej, pospiesznie wyrzucając z siebie słowa - ale potem zaczynam się bać. Naprawdę solidnie bać. Wiem, że Szafa wcale, ale to wcale nie przypomina Tyrella. Ale mimo to myślę sobie, że już raz dałam się nabrać na miłość.

Febe zmarszczyła brwi.

- Boisz się, że Szafa mógłby cię maltretować?

- Nie! - zaprzeczyła szczerze Keezia. - O Boże, nie! On nigdy nie podniósł na mnie nawet głosu. Tyle, że... że... od czasu do czasu wpada mi do głowy myśl, jakby to było, gdyby taki wielki facet potraktował mnie tak jak Tyrell.

- Rozmawiałaś na ten temat z Szafą? Keezia skinęła głową.

- Był taki słodki. Ale ja wiem, że go to rani. To, że czasami się go boję. I to rani także mnie.

Obsługujący Keezię i Febe kelner akurat podszedł do ich stolika.

- Czy przynieść paniom jakiś deser? - zapytał, zbierając puste naczynia.

Febe milczała przez chwilę. Po kilkunastu minutach intymnych zwierzeń trzeba było odpowiedzieć spokojnym tonem na przyziemne pytanie.

- Nie, dziękuję.

- Ja też dziękuję - odparła Keezia.

- Może cappuccino? - zachęcał Mario. - Czarną kawę? Febe zerknęła na zegarek. Wybierały się na seans filmowy o wpół do dziewiątej. Było kilka minut po ósmej.

- Dla mnie nie - odmówiła Keezia. - Febe?

- Nie, nie. Możemy prosić o rachunek? Mario skinął głową.

- Za chwilę go przyniosę.

- A co z tobą? - zapytała Keezia, jak tylko kelner zniknął.

- Ze mną? - Febe osuszyła usta serwetką.

- Z tobą i Jacksonem. Otworzyłam moje serce. Teraz twoja kolej.

Febe zawahała się, nagle przypominając sobie, jak Jackson uświadomił jej, że nie lubi mówić o swoich problemach.

- Nie wiem, co powiedzieć - odpowiedziała Febe po chwili.

- Nie pytam o szczegóły tylko dla dorosłych - droczyła się Keezia. - Chociaż to jasne dla każdego z jakim takim wyczuciem, że ty i Jackson już trochę pofiglowaliście.

Febe uśmiechnęła się, a dreszczyk podniecenia spłynął po jej kręgosłupie.

- W gruncie rzeczy nie robiliśmy nic niewłaściwego - odparła skromnie.

- Kobieto, sądząc z wyrazu twojej śnieżnobiałej twarzyczki, musiało być niezłe!

- Mmm...

- Myślicie o sobie poważnie?

Pytanie było tak bezpośrednie, że Febe poczuła się całkowicie zbita z tropu. Uniknęła wzroku Keezi, niezdolna - czy raczej niechętna - odpowiedzieć wprost.

Kochała tego człowieka! Czy mogło być coś poważniejszego?

Nie potrafiła stwierdzić, czy jej miłość była odwzajemniona.

Jasne, że Jackson ją lubił. Bawił się z nią świetnie w łóżku i poza nim. Ale nie dał jej żadnego znaku sugerującego, że chciałby pogłębić czy rozszerzyć ich związek. I mówiąc tak całkiem szczerze, Febe nie była pewna, jak zareagowałyby na taką propozycję.

- Febe? - Keezia odezwała się zachęcająco.

- Ja... ja nie wiem.

- Nie wiesz, co czujesz? Czy nie wiesz, co on czuje?

- Nie wiem, jak to między nami jest. Keezia zmarszczyła brwi.

- Zależy ci na nim, prawda?

Febe coś ścisnęło za gardło. Skinęła głową.

- A jemu zależy na tobie.

- No... chyba.

- „Chyba”?!

- Niczego ważnego mi nie powiedział. Czarnoskóra kobieta ściągnęła brwi.

- Nieważne, co mężczyzna mówi, Febe. Ważne, co robi.

- Szafa mówi ci o swoich uczuciach, tak?

- To co innego - błyskawicznie odparła Keezia. - Tylko nie próbuj zmieniać tematu. Mówimy o tobie.

Zapadła kłopotliwa cisza.

- Jackson powtarza, że często to robię - powiedziała Febe cicho.

- Co?

- Próbuję zmienić temat rozmowy. Żeby nie mówić o sobie.

- Naprawdę? Febe westchnęła.

- Tak - przyznała uczciwie. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki Jackson nie zwrócił mi uwagi. Ale ja naprawdę tak robię.

- Zwykle jest akurat odwrotnie. Większość ludzi próbuje ściągnąć uwagę na siebie.

- Chyba nie jestem „większością ludzi“?

- Domyślam się, że Jackson nie byłby tobą zainteresowany, gdybyś była.

Pewność, z jaką Keezia to oznajmiła, wyzwolił w Febe dziwne drżenie.

- Mówił ci coś?

Keezia starannie rozważała pytanie.

- Nie tak, jak myślisz, o nie. Ale ja mam oczy, Febe. Widziałam was dwoje.

- Powiedział coś Szafie?

- O tobie?

- Tak.

- Może.

- Nie wiesz?

- Nie. I wcale nie będę go wypytywać. Szafa i Jackson pracują razem od prawie dziesięciu lat. Są tak zżyci, jakby byli zlepieni klejem. O czym rozmawiają, gdy mnie nie ma... - rozłożyła ręce.

- Szafa wiedział, kim jestem, gdy go poznałam - Febe przywołała wspomnienia. - I ty też wiedziałaś.

- Jeśli zastanawiasz się, czy byłaś tematem rozmów na posterunku, odpowiedź brzmi: tak. Plotki zaczęły się w czerwcu, po pożarze twojego domu. Krążyła wieść, że Jackson wychodził z siebie, żeby dowiedzieć się, kim jesteś. A tydzień później ty się do niego wprowadziłaś.

- Nie wprowadziłam się do niego. Wynajęłam u Jacksona mieszkanie.

- Wychodzi prawie na to samo. Febe skrzywiła się.

- Wyobrażam sobie, jakie komentarze wzbudziła moja wizyta na posterunku.

- Cóż, większość chłopaków oceniła cię na zawodach - beznamietnie powiedziała Keezia. - Mimo wszystko wywołałaś pewne zamieszanie.

- Proszę, oto rachunek dla pań - przerwał im kelner.

- Mogę zadać ci osobiste pytanie? - zapytała Keezia, gdy już wychodziły z restauracji.

- Bardziej osobiste niż o figielki?

- Ja nigdy o to nie pytałam. Po prostu to założyłam.

Po ustach Febe przemknął przelotny uśmiezek, gdy przypomniała sobie, co jeszcze Keezia uznała za pewnik.

- No to pytaj.

- Co byś zrobiła, gdyby Jackson poprosił cię o rękę?

- Myślisz, że o nas gadają?

- Kto? Febe i Keezia?
- Owszem, one.
- Zapewne tak. A jak myślisz?
- Jasne! Na sto procent nas obgadują.

Było krótko przed dziesiątą wieczór w wyjątkowo spokojną niedzielę. Jackson i Szafa spoczywali właśnie na plastikowych krzesłach ustawionych przed posterunkiem, zabijając czas i rozkoszując się balsamicznie pachnącym nocnym powietrzem. Wielu innych strażaków z tej zmiany spało.

Jackson także rozważał, czy nie warto by pójść spać. Niestety, nie czuł się zmęczony. Mieli tylko jedno wezwanie, na dodatek był to fałszywy alarm.

- Jak ci się układa z Keezią? - zapytał po chwili, przeczesując palcami włosy.

Szafa westchnął upiornie.

- Po staremu, po staremu. Nadal zмага się ze wspomnieniami o tym gnojku, jej byłym mężu. Boże, jak ja nienawidzę tego sukinsyna! Wiem, to nie po chrześcijańsku, ale ja go naprawdę nienawidzę.

Jackson odpowiedział mu skinieniem głowy. Znał historię niefortunnego małżeństwa Keezi.

- Tyrell Babcock oberwie za swoje któregoś pięknego dnia, możesz mi wierzyć - stwierdził beznamiętnie. - A co do Keezi... Ma dziewczyna sporo przeżyć, daj jej, chłopie, trochę czasu.

- O tak, właśnie tak zrobię, Jackson. Tylko szkoda, że ona nie potrzebuje mojej pomocy. No wiesz...

- Ejże! To niezależna kobieta.

Szafa wybuchnął gromkim śmiechem, w którym kryła się zarówno frustracja, jak i głębokie zaangażowanie.

- Trafiłeś w samo sedno.

Zapadła krótka cisza. Szafa poruszył się na krześle, wyciągając nogi.

- Skoro już jesteśmy przy niezależnych kobietach - podjął rozmowę - to jak się układa między tobą a Febe?

Jackson poczuł dziwaczny ucisk w dołku, słysząc wyraz: „układa”.

- Dobre pytanie - odparł wreszcie.

- Wiesz już coś?

- Nie bardzo.

- Aaa... nadal próbujesz ją rozgryźć? Jackson rozłożył ręce.

- Staram się.

Szafa znowu poprawił się na krześle.

- Mówiłem to i jeszcze raz powtórzę. Gdyby Bóg chciał, aby mężczyźni rozumieli kobiety, dałby im to na piśmie.

- Tak na oko, to ty doskonale rozumiesz Keezie.

- Uhm, rozumiem ją w pracy. Gdy zachowuje się jak strażak.

Ale poza tym? Rany, czuję się, jakbym chodził po polu minowym o północy.

Jackson westchnął i odrzucił głowę do tyłu.

- Właśnie.

- Wkrótce będziesz musiał podjąć jakąś decyzję, Jackson. Chyba że zamierzasz utrzymywać stosunki z Febe po powrocie Lauralee z Baltimore?

Jackson zeszywniał. Dobór słów nie był przypadkowy. Zapytanie było ostre niczym cios siekiery. Ten człowiek znał się doskonale na zadawaniu pytań.

- Że niby co, Szafa? Boże drogi! Utrzymywać stosunki? Spotykam się z Febe na takiej samej zasadzie jak ty z Keezią!

- O, nie sędzę - natychmiast padła zdecydowana odpowiedź - bo ja oświadczyłem się mojej pani.

Jackson otworzył już usta, aby coś odpowiedzieć, ale zamknął je, gdy zdał sobie sprawę, że nie obroni się przed prawdą. Ralph Randall zadeklarował swojej kobiecie miłość aż do grobowej deski. A jego zobowiązania wobec Febe były... były...

Co? Przecież w ogóle nie miał żadnych! I czy naprawdę chciał mieć jakiegokolwiek zobowiązania?

Nie miał zamiaru zaprzeczać przed sobą, że jego uczucia do Febe wykraczały poza wszystko, co odczuwał do tej pory. Ale wpędzały go w straszne zakłopotanie. Osoba tej damy pozostawała wciąż wielką zagadką. Raz otwarta, raz zamknięta w sobie. Szczera tam, gdzie by się tego nie spodziewał, ale zawsze jakby coś ukrywająca. I te pytania, które zadawała! Anne nigdy go nie drażyła, nigdy nie badała. Anne po prostu... akceptowała go. A Febe...

- Hej, Jackson! Odwrócił głowę.

- Co?

- Nie chciałem cię drażnić.

- Chciałeś - Jackson odprężył się, znów wpadając w ton przyjacielskiej pogawędki. Szafa zachichotał, zęby błysnęły na tle ciemnej twarzy.

- No, może trochę. Ale to było dla twojego dobra.

- Aha. I na pewno bolało cię to bardziej niż mnie. Szafa znów zachichotał.

- Z całą pewnością.

Minęło kilka chwil. Jackson wydał długie, ciężkie westchnienie.

- Wiesz co? Masz rację - rzekł w końcu.

- Z czym?

- Że muszę podjąć decyzję w związku z Febe.

W tej samej chwili rozdzwonił się alarm na posterunku.

Po filmie, bardzo zresztą dobrym, poszły jeszcze na małe słodkie co nieco.

- Ile jest w Atlancie kobiet strażaków? - zagadnęła Febe z ustami pełnymi ciasta cytrynowego.

- Około dwudziestu, kiedy ostatnio sprawdzałam. - Czarnoskóra kobieta zaśmiała się i wzięła do umalowanych złocistą szminką ust kęs serniczka z wiśniami. - Gdy się zgłaszałam, było ich tylko czternaście. A aktywnych strażaków w komendzie jest około dziewięciuset.

Febe zastanowiła się przez chwilę, sięgając po nowy kawałek ciasta.

- A jak widzisz swoją dalszą karierę zawodową?

- Wciąż się nad tym zastanawiam. Na pewno chcę robić coś więcej niż tylko ciągać szlauchy aż do emerytury. Jestem ambitna. Chcę piąć się w górę, pełnić bardziej odpowiedzialne funkcje.

- Trudno jest dostać awans? - Febe była szczerze zainteresowana. - Jackson pracuje w straży już czternaście lat, a dalej jest porucznikiem.

Keezia roześmiała się.

- Febe, są porucznicy i porucznicy. Jackson Miller mógłby być kapitanem, jeśliby tylko chciał. Wiem, że jakaś szycha z komendy wciąż namawia go na posadę w akademii pożarnictwa. - Milczała przez chwilę. - Mógłby tam zrobić wiele dobrego. Jackson ma dryg do pożarnictwa. Może ma to w genach, a może traktuje pracę inaczej niż kto inny ze względu na to, co stało się z jego ojcem. W każdym razie jest jednym z najlepszych strażaków w departamencie, wszyscy to wiedzą.

- Kocha to, co robi - powiedziała cicho Febe.

Keezia przechyliła głowę, a jej topazowe oczy nagle się zwięziły.

- To stanowi dla ciebie problem?

Febe wytrzymała badawcze spojrzenie przez chwilę, potem spuściła wzrok.

- To, co Jackson robi, przeraża mnie. Nie chciałabym, żeby... Sama możliwość, że może mu się coś stać...

- O mój Boże!

Przerażenie na twarzy Keezi zaalarmowało Febe. Kobieta patrzyła w stronę baru. Na widok wyrazu jej twarzy coś ścisnęło Febe

w dołku. Odwróciła się. Zaparło jej dech w piersi, gdy ujrzała ekran telewizora. Lokalny reporter stał na tle szalejącego pożaru.

- Głośniej! - krzyknęła Keezia.

Głowy obecnych w lokalu obróciły się w jej stronę.

- Cholera, głośniej!

- ...się spod kontroli - zadudniło w głośnikach. - Trzech strażaków poniosło śmierć. Co najmniej dwóch innych zostało poważnie rannych...

Z łomoczącym sercem Febe znów zwróciła się do towarzyszki.

- Keezia?

- Ja znam ten budynek - brzmiała zdecydowana odpowiedź. - To magazyn firmy budowlanej i on jest w naszym rejonie. Szafa i Jackson są przy tym pożarze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Z prochu powstałeś...

Stażysta Dwight Daniels był jednym z trzech strażaków, którzy zginęli w pożarze magazynu w niedzielę wieczorem. Tak jak dwie pozostałe ofiary, zginął w eksplozji kilku beczek rozpuszczalnika przemysłowego.

Artykuł w gazecie, którą Febe czytała dzień po tragedii, cytował wypowiedź naocznego świadka. Eksplozja przypominała wybuch

bomby. Świadek wyraził zdumienie, że komukolwiek udało się ujść z życiem z wnętrza budynku.

Febe poznała Danielsa podczas swej piątkowej wizyty na posterunku, Siedziała obok niego na obiedzie. Na początku milczał, bardzo nieśmiały, ale pod koniec obiadu dowiedziała się, że od niecałego roku był żonaty i że spodziewał się zostać ojcem w połowie listopada. Wydedukowała też, że młodzian bezkrytycznie naśladuje porucznika Jacksona Millera.

- ... w proch się obrócisz...

Jackson stał po prawej stronie. Przygryzając dolną wargę, by nie drżała, Febe zerknęła na niego. Jak wszyscy strażacy, miał na sobie nienagannie wyprasowany mundur galowy. Wypolerowana blaszka na piersi przewiązana była wąską czarną wstążką. Chociaż na opalonej twarzy widniał smutek, błękitne oczy pozostawały suche. Jego wzrok spoczywał na siwowłosym pastorze, prowadzącym uroczystą ceremonię pogrzebową.

- Módlmy się - zaintonował kleryk.

Febe wciągnęła z trudem powietrze. Bolała ją głowa, gdy starała się odpychać od siebie natrętą, koszmarną myśl.

To mógł być Jackson! To mógł być Jackson! Zacisnęła pięści.

Jackson też mógł zginąć w niedzielnym pożarze. Mógł zginąć zamiast Dwighta. To jego mogli dziś oplakiwać. Albo mógł, zamiast Szafy, trafić na oddział intensywnej terapii. Czarnoskóry strażak doznał oparzeń trzeciego stopnia, obrażeń wewnętrznych i złamań

kilku kości, gdy zawalił się na niego dźwigar sufitu. Jackson uwolnił go spod gruzów i wyniósł w bezpieczne miejsce.

Febe usłyszała o ocaleniu Szafy na miejscu pożaru. Pojechały tam razem z Keezią, jak tylko usłyszały wiadomość w telewizji. Keezia szybko odnalazła znajomego i kazała mu mówić, co się dzieje.

- Czyli Szafa żyje? - zapytała, gdy zaczepiony strażak skończył relację. - Jesteś pewien?

Strażak zaniósł się kaszlem i otarł ciekący nos wierzchem dłoni.

- Oddychał, kiedy wsadzali go do karetki - rzekł szorstko. - To wszystko, co wiem.

- A Jackson? - spytała Febe przez ściśnięte gardło. - Co z Jacksonem?

Strażak zakaszlał znowu i wskazał kciukiem na płonący magazyn.

- Pracuje.

Febe i Keezia pospieszyły do szpitala, gdzie zabrano Szafę i drugiego poszkodowanego, porucznika o nazwisku Lewis Finster. Febe nie wahała się wykorzystać statusu lekarza do zdobycia informacji o obu pacjentach. Wieści, niepewne jeszcze, nie były zadowalające. Szafa pojechał na salę operacyjną w ciągu paru minut. Drugi strażak, ofiara obrażeń głowy, też trafił na oddział chirurgiczny.

Przez całą noc Febe trzymała razem z Keezią wartę w szpitalu. Dołączyła do nich Helen, matka Szafy, oraz żona i dwóch nastoletnich synów Lewisa Finstera. Ponad tuzin nie będących na służbie

strażaków zjawilo się z pociechą i pomocą. Febe była poruszona sposobem, w jaki strażacy udzielają sobie nawzajem wsparcia. Rozglądając się po poczekalni, Febe czuła, że każdy z obecnych tu mężczyzn jest świadom, że może przyjść czas, gdy to właśnie on będzie walczył o życie na stole operacyjnym.

Godziny wlokły się niemiłosiernie. Febe modliła się żarliwie jak nigdy dotąd.

Pierwszy opuścił oddział chirurgiczny Lewis Finster. Operacja Szafy trwała prawie dwie godziny dłużej. Chirurg, który ją przeprowadził, podkreślił z brutalną szczerością rozległość obrażeń, ale zaznaczył także wysoką odporność fizyczną i wolę przeżycia pacjenta.

- Następne dwadzieścia cztery godziny będą decydujące - podsumował lekarz. Febe znała go przelotnie na gruncie zawodowym.
- To prawdziwy twardziel. Stwierdziłem to już podczas operacji. A jeżeli pacjent się nie poddaje... No to cóż, powiedziałbym, że ludzki duch bywa w takich przypadkach nie mniej ważny, niż wysiłki lekarzy.

- Mój chłopak da sobie radę - szepnęła cicho matka Szafy.
- Szafa jest silny - powiedziała Keezia niskim głosem, a jej egzotyczne złote oczy lśniły od łez. - Będziemy z nim przez cały czas.

Helen Randall otoczyła ją opiekuńczym ramieniem.

- Kiedy będziemy mogły go zobaczyć?

Chirurg zerknął na Febe z lekka unosząc brwi. Wiedziała, że się zastanawia. Odpowiedziała na niewypowiedziane pytanie nieznacznym skinieniem głowy.

- Mogą panie zobaczyć go już teraz - powiedział lekarz - ale tylko przez chwilę. A potem zdecydowanie sugerowałbym paniom przerwę na odpoczynek.

- Ja zostanę - powiedziała Febe. - Muszę tylko zadzwonić do szpitala i poinformować, że się spóźnię.

Jackson zjawił się jakieś pięć minut później. Febe skończyła właśnie rozmawiać ze szpitalem, gdy usłyszała, jak wymawia jej imię. Odwróciła się i łzy napłynęły jej do oczu. W mgnieniu oka znalazła się w jego objęciach.

- Jackson - przytuliła go mocno, upewniając się, że jest tu naprawdę, cały i zdrowy. Czuć było od niego dymem i potem. - Och, Jackson.

Objął ją mocno, lecz czule, głaszcząc po włosach. Ręce lekko mu drżały. Ale w końcu uspokoił się trochę.

- Co z Szafą? - spojrzał na nią przekrwionymi, spuchniętymi oczami.

- Jest już po operacji. Jego stan określono jako krytyczny, ale stabilny.

Jackson zacisnął szczęki.

- Szafa jest twardy - odezwał się po chwili głosem jak drut kolczasty. - Wyjdzie z tego.

Febe pogładziła szorstki, nieogolony policzek.

- Słyszałam, że uratowałeś mu życie.

Jackson potrząsnął głową, nie przyjmując pochwały za odwagę.

- Tylko wykonywałem swoją pracę. Szafa zrobiłby to samo...

Pełen bólu krzyk wyrwał Febe z myślenia o przeszłości i przywrócił do chwili obecnej. Szlochała wdowa po Dwighcie Danielsie. Stała po lewej ręce pastora wraz z odzianą w żałobę parą, którą Jackson opisał wcześniej jako rodziców Dwighta.

- D-Dwight! - wyjąkała młoda wdowa łamiącym się głosem i postąpiła krok ku trumnie męża. Zachwiała się, przyciskając dłoń ochronnym gestem do mocno zaokrąglonego brzucha. - Och, Dwight!

Wszyscy zamarli. Nawet pastor przerwał kazanie. A potem ojciec Dwighta zbliżył się i ujął synową pod rękę.

- Wszystko będzie dobrze, Katie - powiedział uspokajająco. - Będzie dobrze, kochanie.

Kobieta zwróciła się ku niemu.

- Jak możesz... jak możesz mówić coś takiego? - Jej głos zadrżał.
- Dwight nie żyje, tato. Nie żyje. Tak b-bardzo go kochałam. Kochałam go... i straciłam na zawsze. Obiecał mi... ze względu na dziecko... obiecał mi, że b-będzie na siebie uważał. Dlaczego... dlaczego tego nie... zrobił?

Febe spuściła wzrok, gdy Katie Daniels ze szlochaniem wsparła się na ramieniu teścia. Czowała się, jakby jej serce opasano twardymi paskami stali. Nie mogła pomyśleć, mrugając powiekami, by pozbyć się napływających łez. Nie mogła. Nie ja!

Tak, Jackson wyszedł z niedzielnej katastrofy bez szwanku. Ale będą następne pożary. A kiedy wybuchną, mężczyzna, którego kochała, znajdzie się pośród tych odważnych ludzi, którzy rzucają się do walki z płomieniami, gdy wszyscy inni będą uciekać.

Kochać.

Utracić.

Nie mogła przez to przechodzić, nie po raz kolejny. Nie mogła znieść nawet takiej myśli.

Oddech zamarł jej w gardle, gdy napotkała spojrzenie Jacksona. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wyrazu w tych błękitnych oczach. Miała nieznośne wrażenie, że Jackson zagląda wprost w głąb jej duszy.

Poczuła, że bierze ją za rękę. Zadrżała ze wzruszenia. Łzy, które tak bardzo starała się powstrzymać, popłynęły jej po policzkach.

Kochać.

Utracić.

To mógł być Jackson.

W momencie, gdy palce Febe splotły się z palcami mężczyzny, któremu oddała serce, wiedziała już, co musi uczynić.

Kochał ją.

Paskudnie było zdać sobie z tego sprawę w samym środku pogrzebu, stwierdził zaglądając w jej wielkie zielone oczy. Ale tak właśnie było. A z drugiej strony, może miejsce tego nagłego

objawienia nie było wcale tak niewłaściwe? Co takiego Febe mówiła? Coś o afirmacji życia i o ludzkich impulsach... Tak.

Z jakiegoś powodu przypomniał sobie nagle pogrzeb swojego ojca. Przed oczami stanął mu obraz twarzy matki. Nie płakała, przypomniał sobie z bezbrzeżnym zdumieniem. Nigdy nie płakała. A ponieważ nie płakała, on też tłumił łzy.

Przeszłość odpłynęła, wrócił do terażniejszości. Zobaczył łzy na bladych policzkach Febe. Ujął ją za rękę. Poczował, jak zadrżała. Po chwili ich palce splotły się razem. I w tym momencie Jackson wiedział już, co musi uczynić.

Decyzja, kiedy i jak, zabrała mu nieco więcej czasu.

- Proszę, nie!

Jackson opuścił ręce i odstąpił, na jakiś czas porzucając zamiar objęcia Febe. Coś było nie w porządku. Spędził więcej niż dobę, przygotowując się psychicznie na ten moment. Fizyczne odtrącenie nie mieściło się w żadnym z przewidywanych scenariuszy.

Psiakrew, zeszłej nocy nie miała zupełnie nic przeciwko temu, żeby jej dotykał. Na pogrzebie była w zrozumiałym sposób przygnębiona, ale jak tylko wrócili do domu, zapłonęła namiętnością. Zachęciła go. Podnieciła. Zupełnie bez zahamowań. Nawet teraz zmięknęły mu kolana na samo wspomnienie tego, co robili.

Wziął głęboki oddech. Może lepiej zaczekać?

Nie, odpowiedział sobie. Nie będzie odkładania. Kocha Febe i poprosi ją o rękę, tak, jak zaplanował. Miał pierścionek z

pojedynczym diamentem, wybrany i kupiony dziś po południu. Uzyskał także poparcie córki. Zadzwoił do niej, jak tylko Febe poszła do pracy. Chciał powoli wtajemniczyć Lauralee w swoje plany matrymonialne.

- Tato - przerwała mu Lauralee głosem, w którym brzmiała czułość, rozbawienie i irytacja - czy ty chcesz mi powiedzieć, że masz zamiar oświadczyć się Febe?

Unikalne ojcowskie zdumienie odebrało mu na chwilę zdolność mówienia.

- No... tak, skarbie... Rzeczywiście - odrzekł w końcu. - Właśnie... zbierałem się, żeby ci o tym powiedzieć.

Usłyszał westchnienie. Wiedział, że Lauralee kręci głową.

- Mam nadzieję, że w rozmowie z Febe nie będziesz wszystkiego tak owijał w bawełnę.

Przeczesał włosy palcami, zaskoczony tonem głosu córki. Nigdy nie słyszał, by jego mała córeczka wyrażała się tak dorośle. Gdzie się podziały czasy, gdy był dla niej skarbnicą wiedzy i mądrości...

- Myślisz, że najlepiej spróbować bezpośredniego ataku?

- Z całą pewnością.

- I zakładam... że nie masz nic przeciwko... Lauralee nie pozwoliła mu dokończyć.

- Jasne, że nie! - wykrzyknęła. - Ty i Febe jesteście idealną parą. Wiedziałam o tym od samego początku. To było jak... jak... przeznaczenie.

Raz jeszcze głęboko odetchnął i powtórzył w myślach to słowo, patrząc na twarz Febe.

Przeznaczenie...

Wspomniął, jak ujrzał ją po raz pierwszy. Wspomniął dziwne poczucie znajomości, gdy spotkały się ich oczy. I pierwotne uczucie opiekuńczości, gdy zemdląca w jego ramionach. Nie wierzył, żeby jego życiem kierowało jakieś przeznaczenie, zamiast własnej wolnej woli, ale musiał przyznać, że w stwierdzeniu Lauralee coś tkwiło. W spotkaniu ich dwojga było coś... nieuchronnego.

- Miałaś ciężki dzień w szpitalu, kochanie? - zapytał.

- Tak - potrząsnęła głową. - Nie - skrzywiła się. - To nie ma znaczenia.

Co się działo? Akceptował to, że nie chciała rozmawiać o pracy. Ale taka reakcja?

- Obiad jeszcze się trochę pogotuje - rzekł po chwili i zrobił gest w stronę kuchni. - Napiłabyś się czegoś? Mam trochę wina.

- Nie - odmówiła. Potem, jakby dla złagodzenia odmowy, dodała: - Dziękuję.

W porządku, pomyślał. Bez wina. Pewnie nie będzie też miała ochoty pójść do kuchni na zwykłe przedobiednie przytulanki. A więc zostało... Co? Najwyraźniej Febe nie miała ochoty na fizyczny kontakt. I z całą pewnością nie chciała rozmawiać o pracy. Może powinien...

- Jackson, muszę ci coś powiedzieć.

Uderzył go ton jej głosu. Nagle zdał sobie sprawę, że usunęła się poza zasięg jego rąk. Wytracony z równowagi, odpowiedział bez ogródek:

- Ja też mam ci coś do powiedzenia. Zesztywniała.

- Co takiego? Potrząsnął głową.

- Panie mają pierwszeństwo.

Spuściła wzrok. Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się i wreszcie podniosła na niego wzrok i rzekła z druzgocącą prostotą:

- Nie możemy dalej tak tego ciągnąć.

Szalone uczucie ulgi przeniknęło Jacksona. Kobieta, którą kochał, najwyraźniej doszła to tych samych wniosków, co on. A jako niezależna kobieta, postanowiła przejąć inicjatywę i działać. W porządku. Ale, mimo że postrzegał ich związek jako równy i partnerski, miał swoją męską dumę. A duma wymagała przestrzegania pewnych staroświeckich tradycji. To on powinien się oświadczyć, a ona przyjąć oświadczyzny.

- Wiem, kochanie - rzekł po sekundzie czy dwóch.

- Wiesz?

Sięgnął do kieszeni spodni. Tym razem nie miał na sobie codziennych dzinsów. Uważał, że oświadczyzny wymagały bardziej eleganckiego stroju.

- Lauralee powiedziała, że powinienem uderzyć bezpośrednio - stwierdził, wyciągając pokryte aksamitem pudełeczko jubilerskie i wyciągnął je ku Febe. - Trochę to poniżające dla mężczyzny, gdy piętnastoletnia córka jest od niego mądrzejsza.

- C-co? - Febe odruchowo wzięła mały sześciannik. Drżały jej ręce.

- Otwórz.

Otworzyła.

- Nie... - wyszeptała, wpatrując się we wnętrze pudełka. - O nie!

- Hej! - Jackson zaśmiał się nerwowo. - Daj mi szansę. Nawet nie zdążyłem zadać właściwego pytania.

Febe podniosła wzrok na jego twarz. Otworzyła usta, by przemówić. Jackson ubiegł ją.

- Kocham cię, Febe - oświadczył podchodząc o krok.

- Kocham cię całym sercem i chcę, żebyś została moją żoną. Czy... czy wyjdiesz za mnie?

Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Nie mogę - zamknęła pudełeczko z cichym trzaskiem. Ten dźwięk zabrzmiał jak potwierdzenie, że sprawa została zamknięta.

- Ja... ja nie wiedziałam, Jackson... Nigdy nie mówiłeś...

- Czego? - przerwał szybko. - Że cię kocham? Och, skarbie... kochanie... Nie mówiłem, bo do wczoraj sam nie zdawałem sobie sprawy, co do ciebie czuję. Ale teraz gotów jestem powtarzać to tyle razy, ile zechcesz. Będę to powtarzał

- przełknął z trudem - aż mi uwierzysz.

- Wierzę ci już t-teraz - wyjąkała Febe. - Ale to nie ma... Nie mogę za ciebie wyjść. Nie mogę nawet... nawet być z tobą dłużej.

Jackson gapił się na Febe, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Spróbował coś powiedzieć. Raz. Drugi. Trzeci. W końcu wydobył z siebie jedno słowo.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę żyć z tym, co robisz.

Z początku nie zrozumiał. Nie mogła żyć z tym, co robił? O czym ona, na Boga...?

Zaparło mu dech w piersiach. Ręce same zacisnęły się w pięści. Nie, pomyślał. To niemożliwe.

- Masz na myśli moją pracę? To, że jestem strażakiem?

Wypowiedziała tylko jedno słowo. Potwierdzenie.

Coś w środku Jacksona pękło, uwalniając falę gniewu i urazy.

- Do cholery, Febe! - wybuchnął. - Jak możesz? Przecież wiedziałaś! Od samego początku wiedziałaś, na czym polega moja praca!

- Waśnie dlatego nie chciałam się z tobą angażować w związek - odpaliła.

- Co?! Uczyniła ruch ręką.

- Starłam się tego unikać. Dobrze o tym wiesz. Przez jakiś czas myślałam, że dam sobie radę, że miłość pokona strach. Wierzyłam w to, aż do tego pożaru w niedzielę. Kiedy dowiedziałam się, że tam jesteś... Boże! - jej oczy rozjarzyły się. - To mogłeś być ty, Jacksonie. To ty mogłeś skończyć w szpitalnym łóżku zamiast Szafy albo Lewisa Finstera. To ty mogłeś spocząć w grobie...

- Zapomnij o tym, co było - Jackson podszedł do niej i ujął za ramiona. Potrząsnął nią lekko. - Jestem cały i zdrowy. Jestem cały i zdrowy, i kocham cię.

- Ja też ciebie kocham! - wykrzyknęła z pasją. - Ale niczego nie rozumiesz? Kochałam matkę, a ona porzuciła mnie jak miałam sześć lat. Kochałam ojca, a on umarł na moich oczach. Kochałam Alana Brinkleya, a on zginął na tydzień przed naszym ślubem. Spłonął żywcem w rozbitym samolocie! Za każdym razem, gdy kogoś kocham, staje się coś straszego!

- Nic mi się nie stanie - rzekł stanowczo, zmagając się z tym, co usłyszał.

- Nie możesz tego wiedzieć!

- Obiecuję ci...

- Co? - głos załamał jej się zupełnie. - Co mi obiecujesz? To samo, co Dwight Daniels swojej żonie?

Poczuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek.

- Kochanie...

- Jest takie stare przysłowie, że lepiej kochać i utracić, niż nie kochać wcale. Ale to nieprawda. Ja już raz kochałam i utraciłam. I nie mogę przechodzić przez to raz jeszcze.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- To jedno i to samo.

- Nieprawda. Jeżeli nie możesz, to znaczy, że nie masz innego wyjścia.

- Nie mam!

- Ale mówiłaś, że mnie kochasz.

- Kocham. Kocham cię - zadrgało jej gardło - A... ale wolałabym cię nie k-kochać.

Zapadła głucha, nieznośna cisza. Jackson wciągnął powietrze ze świstem. Nie wiedział, że człowiek może znieść taki ból bez krzyku protestu.

- Chyba już pójdę - odezwała się wreszcie Febe bezbarwnym głosem. Wyciągnęła ku niemu pudełeczko z klejnotem. Jackson przyjął je, zaciskając na nim palce z miażdżącą siłą.

- Nie będę próbował cię zatrzymać.

Nie próbował. Ale gdy Febe otworzyła drzwi, wymówił jej imię. Zesztywniała i powoli obróciła się ku niemu. Łzy drżały na koniuszkach rzęs.

- Mnóstwo czasu poświęciłem, starając się cię zrozumieć - powiedział. - Zbyt wiele czasu. Bo wystarczyło wiedzieć tylko jedną rzecz.

Zamrugnęła powiekami. Łza potoczyła się po policzku, zostawiając srebrzystą ścieżkę na mlecznobiałej skórze.

- To znaczy?

Jackson cierpiał. Chciał, żeby i ją zabolalo.

- Że jesteś tchórzem.

Lauralee Miller wróciła do Atlanty dwa dni później. Febe nie było na lotnisku, by ją przywitać.

A kiedy nastoletnia córka Jacksona zastukała do jej drzwi kilkanaście godzin po przylocie, Febe udawała, że nie ma jej w domu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ogłoszenia w „Atlanta Constitution” nie zmieniły się zbytnio od ostatniego razu. Wiele wywoływało uczucie déjà vu. „Przytulne mieszkanie” w pobliżu Emory University. Już to kiedyś czytała. „Luksusowo wyposażony domek” w Buckhead. Była pewna, że to też już poprzednio widziała. Czynsz był nie mniej wygórowany, niż dziesięć i pół tygodnia temu.

Zwrot „w pobliżu Inman Park” zwrócił jej uwagę. Zabolęło ją serce. Zachciało jej się płakać. Wiedziała oczywiście, że to zupełnie inne mieszkanie, ale samo wspomnienie...

Cztery dni upłynęły od katastrofalnej konfrontacji w salonie. Od tego czasu nie widziała go ani razu, jedynie w snach. A Jackson unikał jej równie skrupulatnie, jak ona jego.

Czy miłość, którą jej wyznał, przerodziła się w nienawiść? Nie byłaby tym zaskoczona. Pogarda brzmiąca w jego głosie, gdy nazwał ją tchórzem, zraniła ją do głębi.

Ale nie miała wyboru!

Nigdy nie spodziewała się po nim oświadczyć. Nigdy. Kiedy Keezia Carew zapytała ją, jak by zareagowała na oświadczenie, odpowiedziała żartobliwie: „Zemdlałabym”. I faktycznie, gdy otworzyła pokryte aksamitem pudełeczko, omal nie osunęła się na ziemię. A kiedy ujrzała niezrównany blask diamentowego ognia...

Potrząsnęła głową, wyrzucając z umysłu wspomnienie zaręczynowego pierścionka. Zmusiła się do skupienia na rubryce w gazecie. Po chwili wzięła długopis i otoczyła kółkiem kilka ogłoszeń. Sięgnęła po słuchawkę - i w tej sekundzie telefon zadzwonił sam. Drgnęła, przestraszona niespodziewanym dźwiękiem. Odetchnęła kilka razy, by uspokoić nerwy i podniosła słuchawkę.

- Doktor Donovan, tu recepcja - zabrzmiał kobiecy głos. - Jest tu jakaś Lauralee Miller, która chce się z panią zobaczyć.

Febe przygryzła dolną wargę. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała stanąć twarzą w twarz z córką Jacksona. Ale czy była gotowa na to w tej chwili? Recepcjonistka splawiłaby Lauralee, gdyby sobie tego jej przełożona zażyczyła. Mogłaby polecić kobiecie, by powiedziała Lauralee, że...

Tchórz.

To słowo znów zabrzmiało jej w uszach.

- Doktor Donovan? - ponagliła recepcjonistka. Febe odchrząknęła.

- Proszę ją wpuścić.

Po minucie usłyszała delikatne stukanie do drzwi.

- Wejdz - zawołała, wstając. Lauralee weszła z podniesioną głową.

- Cześć! - rzekła uroczyście, zatrząskując za sobą drzwi.

- Cześć! - Febe zdobyła się na uśmiech. - Przepraszam, że nie miałam okazji zobaczyć się z tobą. Ale byłam bardzo zajęta w szpitalu i wiele pracowałam nad... nad... - Nagła zmiana na twarzy Lauralee

sprawiła, że Febe zgubiła watek. Było oczywiste, że Lauralee nie uwierzyła w ani jedno słowo. - Lauralee...

- Nie jestem głupim dzieckiem, Febe - oświadczyła dziewczyna, a głos zadrżał jej lekko. - Nie musisz karmić mnie kłamstwami.

Wcześniej nie miałaś... nie miałaś takiego zwyczaju.

Febe oblała fala gorącego wstydu. Skuliła się w fotelu.

- Przepraszam cię - wskazała krzesło po drugiej stronie.

- Usiądź.

Lauralee zajęła wskazane miejsce. Plecy miała sztywno wyprostowane, dłonie skromnie złożone na podolku. Febe odetchnęła głęboko.

- Co się stało?

- Możesz powiedzieć mi prawdę.

- O...?

- O tym, co zaszło między tobą i tatą. Febe zwalczyła chęć odwrócenia wzroku.

- A co mówi twój ojciec?

Nastolatka skrzywiła się i osunęła na oparcie.

- Nic.

- Nic? - Serce zabiło jej wolniej.

- No... wiem, że oświadczył ci się, a ty go odrzuciłaś

- wyjaśniła. - Tata dzwonił do mnie w zeszły piątek, żeby wybadać, co myślę o waszym małżeństwie. I powiedziałam mu, że to by było wspaniale. Ale jak przyjechałam do domu w niedzielę, powiedział, że to już nieaktualne. Że nie wyjdiesz za niego i nie będziesz się nawet

z nim widywać. Oczywiście chciałam wiedzieć, dlaczego. Ale nie powiedział. Naprzykrzałam mu się, aż się rozłościł i kazał mi pilnować własnych spraw. Ale to przecież jest moja sprawa! To znaczy... ty i tata bardzo wiele dla mnie znaczą!

- Rozumiem to, Lauralee. Ale to nie jest...

- Nie pytam o naprawdę osobiste szczegóły.

- Nie jestem pewna...

Córka Jacksona przechyliła się do przodu z błaganiem w błękitnych oczach.

- Proszę!

Febe westchnęła, godząc się z tym, co nieuniknione.

- Mogę ci tylko podać moją wersję zdarzeń - zastrzegła się. - Twój ojciec pewnie inaczej to widzi.

- Po prostu powiedz mi tyle, ile możesz.

I Febe powiedziała. Z początku z wahaniem, potem z rosnącą pewnością siebie przedstawiła wydarzenia ubiegłego miesiąca.

Lauralee słuchała w milczeniu, od czasu do czasu marszcząc brew lub przygryzając wargę.

- ... no i odeszłam - zakończyła Febe. - I odtąd nie widziałam już twojego ojca.

Lauralee westchnęła ciężko.

- Nie wiedziałam o twoim narzeczonym. Ani o rodzicach. To znaczy, wiedziałam, że oboje nie żyją, ale nie myślałam, że...

- Raczej o tym zbyt wiele nie mówię.

Lauralee przechyliła głowę, spoglądając zamyślonym wzrokiem.

- Może powinnaś?

- Może tak.

Nastąpiła przerwa w konwersacji. Febe siedziała nieruchomo. Czuli się krucha i pusta, jak wydmuszka z jajka. Lauralee kilka razy zmieniała pozycję, rozglądając się po gabinecie. W końcu dostrzegła na biurku gazetę, rozłożoną na stronie z ogłoszeniami.

- Wyprowadzasz się od nas? - spytała ze smutkiem.

- To chyba najlepsze wyjście.

- Możemy nadal być przyjaciółkami?

- Bardzo bym tego chciała - odparła Febe szczerze. - Ale nie wiem, czy twojemu ojcu to się spodoba.

Lauralee wstała. Uniosła głowę i zrobiła stanowczą minę.

- Załatwię to z tatą.

Febe też wstała, zaniepokojona postawą dziewczyny. Chociaż żywiła nadzieję, że Jackson któregoś dnia zrozumie, dlaczego postąpiła tak, jak postąpiła, na pewno nie wybaczyłby jej, gdyby stała między nim a jego córką.

- Nie chcę być źródłem konfliktu między wami dwojgiem - powiedziała.

- Nie martw się - powiedziała Lauralee. Raz jeszcze rozejrzała się i poprawiła loczki. Zastanawiała się chwilę. - No to dziękuję, że zechciałaś się ze mną zobaczyć.

- Cieszę się, że przyszałaś - Febe wyszła zza biurka. -

Przepraszam, że cię tak unikałam przez dwa dni. Ale było mi... trudno... wyjaśnić...

- W porządku - ku zdumieniu Febe, Lauralee podeszła i uścisnęła ją. Potem ruszyła ku drzwiom. Stojąc na progu, obróciła się jeszcze.

- Febe?

- Tak, Lauralee?

- Czy mówiłaś prawdę, że kochasz tatę?

Febe czuła suchość w gardle. Przełknęła z trudem, kilka razy przesunęła językiem po wargach.

- Tak - udało jej się powiedzieć.

- A kiedy mówiłaś, że tak bardzo boisz się go stracić? Tym razem Febe tylko skinęła głową. Nie ufała własnemu głosowi.

- A czy sama nie zrobiłaś tego, czego tak się bałaś? - powoli zapytała Lauralee. Zdawała się rozważać to pytanie, gdy mówiła dalej.

- To znaczy, czy zerwanie z tatą to nie to samo, co stracenie go na zawsze?

Stuk!

Skrob, skrob. Skrob, skrob.

Jackson zesztyniał. Patrzył, jak córka dziobie widelcem żółtko sadzonego jajka i przesuwając zębami widelca tam i z powrotem po talerzu.

Stuk!

Skrob, skrob. Skrob, skrob.

Lauralee powtarzała rytuał z ponurą dokładnością. Nerwy Jacksona napinały się do granic wytrzymałości.

Stuk!

Skrob, skrob. Skrob, skrob.

- Lauralee?

Córka zamarła, podniosła głowę. Niebieskie oczy były podkrążone.

- Co?

- Chyba już zabiłaś to jajko.

Spuściła wzrok, potem odłożyła widelec. Odsunęła od siebie talerz.

Jackson zmarszczył brwi.

- Dobrze się czujesz? Wzruszyła ramionami.

- Skarbie...

Znów uniosła głowę. Miała buntowniczą minę.

- Wczoraj... poszłam porozmawiać z Febe. Do jej gabinetu.

Kiedy byłeś w pracy.

Zapanowała długa chwila milczenia,

- Rozumiem - Jackson starał się mówić spokojnie.

- A ty nie chciałeś mi powiedzieć, co się stało!

- A... ona... powiedziała - nie mógł wymówić jej imienia. Jeszcze nie. Za bardzo bolało.

- Przedstawiła swoją wersję wydarzeń - Lauralee zaczęła mrugać powiekami. Gdy podjęła rozmowę na nowo, drżał jej głos. - Febe kocha cię bardzo, tato.

- Nie dość mocno - rzekł gorzko, czując, jak coś ściska go w środku.

Niech ją szlag trafi, pomyślał.

- Tato?

Coś w głosie córki kazało Jacksonowi odwrócić się i spojrzeć na nią.

- Co takiego?

Lauralee nie odpowiedziała. Zaciskała tylko i otwierała pięści, a podbródek drgał jej konwulsyjnie.

- Lauralee?

- Wierzysz, że jeśli ktoś kocha cię dość mocno, to nie boi się tego, co robisz?

Desperackie pytanie zupełnie go zaskoczyło.

- Nie... nie rozumiem - rzekł nie od razu.

Lauralee podeszła blisko niego. Trzęsła się, a jej oczy były pełne łez.

- Kocham cię najbardziej na świecie, tatusiu - powiedziała. - Ale boję się twojej pracy. Codziennie, jak idziesz do pracy, taki cichy głos we mnie pyta, co będzie, jeśli nie wrócisz. A w...w p-poniedziałek, kiedy p-pojechaliśmy odwiedzić Szafę w szp-pitalu... myślałam tylko, że to mogłeś być t-ty... w łóżku... z tymi wszystkimi rurkami...

- Skarbie - Jackson otworzył ramiona. Córka zachwiała się i wsunęła mu na kolana, kładąc głowę na jego piersi. Zaszlochała. Tulił ją tak jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką. - Och, skarbie. Cicho! Już dobrze, Lauralee. Już dobrze.

- P-p-przepraszam, tato.

- Nie masz za co przepraszać. - Pogłaskał ją po głowie drżącą dłonią, walcząc z ogarniającym go poczuciem wstydu. - Dziecinko, nie miałem pojęcia, że tak się czujesz.

- Nie miałam... - Rozległo się stłumione czkanie. - Nie miałam zamiaru o tym ci mówić.

Jego dłoń znieruchomiała.

- Co?

- Nie m-miałam...

Jackson podniósł brodę córki do góry.

- Kto ci powiedział, że nie masz mi mówić, że się boisz?

Zamrugnęła powiekami, a łzy płynęły po jej twarzy. Znał już odpowiedź, zanim jej udzieliła.

- B-Babcia Miller.

Jacksona ogarnęła wściekłość, a potem coś na kształt litości.

- Kiedy to było?

Córka otarła policzki, pochlipując.

- Pamiętasz, jakieś cztery lata temu, jak zostałeś postrzelony?

- Owszem.

- No i potem, jak wróciłeś do pracy, zaczęłam mieć koszmary senne, że coś ci się przytrafia. Babcia była wtedy tutaj, opiekowała się mną. Powiedziałam jej o koszmarach. I że powiem tobie. Ale ona powiedziała, że nie powinnam, bo to tylko uczyni twoją pracę jeszcze cięższą niż jest. Powiedziała, że dzielność to część rodzinnej tradycji Millerów. Twierdziła, że wyjaśniła wszystko mamie, kiedy

postanowiłeś wstąpić do straży. I że mama by mi to przekazała, gdyby nie umarła.

Jackson kołysał Lauralee prawie minutę, w milczeniu karcąc się za bycie ślepym i samolubnym głupcem. Tradycyjna odwaga Millerów? Boże! Raczej tradycyjna obłuda Millerów!

Febe wyczuła tę emocjonalnie destrukcyjną siłę, która kształtowała jego życie, ale nie do końca rozumiała jej przyczynę. To dlatego zadawała tyle pytań o jego małżeństwo i rodziców! I miała odwagę powiedzieć mu, co naprawdę czuła. I za to - wielki Boże! - za to nazwał ją tchórzem!

Wziął głęboki oddech. Już nigdy więcej!

- Lauralee?

Córka podniosła głowę.

- Co?

- Czy chcesz, żebym odszedł ze straży? Lauralee wyglądała na zszokowaną.

- Żebyś odszedł? Nie. Nie, tato! Jestem dumna, że jesteś strażakiem! To, co robisz, jest ważne. Uratowałeś życie Szafie! Ja tylko... ja tylko... chciałam, żebyś wiedział, że czasem... nie wszyscy są tak nieustraszeni jak ty.

- Kochanie - Jackson potrząsnął głową. Wziął ze stołu papierową chusteczkę i starł łzy z dziewczęcej twarzy. - można o mnie mówić, ale z pewnością nie jestem nieustraszony. Boję się tak samo, jak każdy. Może nawet bardziej.

- Nigdy tego po tobie nie widać. - Lauralee zabrała mu chusteczkę i wytarła nos.

- To też rodzaj tchórzostwa - rzekł przez ściśnięte gardło. - Ukrywać uczucia, zamiast sobie z nimi radzić.

Lauralee myślała dłuższą chwilę. W końcu zapytała:

- Czy ty nienawidzisz Febe?

Zupełnie jakby ugodziła go nożem w pierś. O mało nie drgnął z bólu.

- Ona tak myśli?

- Nie jestem pewna.

- Byłem na nią zły. I na siebie pewnie też, chociaż nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale nie. Nie nienawidzę Febe. To, co do niej czuję, jest jak najbardziej odległe od nienawiści.

Lauralee westchnęła i wsparła się o jego pierś.

- Kiedy byłam mała, zawsze wierzyłam, że choćby było najgorzej, ty zawsze będziesz umiał znaleźć radę.

Jackson zamrugał oczami, czując zbierające się pod powiekami łzy.

- Zmądrzałaś od tamtego czasu, co? Znów westchnęła.

- Wciąż wierzę, że możesz spróbować.

Jackson pocałował pokryty loczkami czubek głowy.

- Ja też, skarbie - wyszeptał. - Ja też.

Febe zatrzasnęła kartotekę, którą od dwudziestu minut usiłowała studiować. Ściągnęła okulary, rzuciła je na biurko i pomasowała

grzbiet nosa. Była w fatalnym stanie. Nawet koledzy z pracy to widzieli. Straciła już rachubę ludzi, którzy ostatnio dopytywali się, czy wszystko w porządku. Co najmniej pięcioro sugerowało, że jeśliby miała ochotę porozmawiać, będą do dyspozycji.

W zeszłym tygodniu wreszcie została w pełni zaakceptowana przez zespół. Nie była już traktowana jak przybysz z zewnątrz. Stała się częścią drużyny. Co za ironia! Życie zawodowe zaczyna się układać dopiero wtedy, gdy życie prywatne rozpada się na kawałki. Pełna równowaga!

Usiadła w fotelu i zamknęła oczy. Musiała coś zrobić... i to niedługo. Nie będzie się do niczego nadawać, ani biorąc pod uwagę pacjentów, ani samą siebie, jeżeli dalej będzie tak się miotać. Słowa Lauralee Miller powracały, odbijając się echem w jej głowie.

- A czy sama nie zrobiłaś tego, czego tak się bałaś? - spytała nastolatka. - To znaczy, czy zerwanie z tatą to nie to samo, co stracenie go na zawsze?

Wciągnęła powoli powietrze, w końcu uświadamiając sobie prawdę. Lauralee miała rację. Sama wyrzuciła sobie krzywdę. Posłuchała głosu strachu, ignorując zupełnie inne uczucia. Czego w końcu oczekiwała? Hermetycznie zamkniętej egzystencji w izolacji od jakiegokolwiek bólu? Czy naprawdę chciała spędzić resztę życia, wiecznie hamując, powstrzymując, tłumiąc naturalne odruchy? Co by z niej był za lekarz psychiatra? I co za człowiek?

Otworzyła oczy. Kochała Jacksona Millera. Kochała go każdą częścią siebie. Nie mogła pozwolić - nie pozwoli! - żeby strach przed tym, co może się zdarzyć, zniszczył tę prostą prawdę.

W prawdziwym życiu nie ma puenty „żyli długo i szczęśliwie”. Miłość nie przychodzi z gwarancją. Ale dopóki człowiek nie odważy się podjąć ryzyka...

Wyprostowała się. Sięgnęła po telefon i wystukała siedem cyfr, które wyczytała w gazecie przed jedenastoma tygodniami.

Jeden dzwonek. Drugi. Trzeci. Sygnał połączenia.

- Halo? - powiedziała odruchowo. Ale cichy syk ostrzegł ją przed tym, co nastąpiło.

- Cześć - powiedział nagrany głos Jacksona. - Tu numer 555-4963. Niestety, nie możemy teraz odebrać telefonu. Proszę zostawić nazwisko, wiadomość i numer telefonu. Oddzwonimy, jak tylko będziemy mogli.

- Jackson, mówi Febe - starała się, by jej głos brzmiał pewnie. - Muszę z tobą porozmawiać. Jestem jeszcze w szpitalu. Jak skończę dyżur, po drodze wstąpię odwiedzić Szafę. Powinnam być w domu o wpół do ósmej. Mam nadzieję, że się spotkamy - przełknęła ślinę. -

K-kocham cię, Jackson.

Trzęsa się, gdy odkładała słuchawkę. Trzęsa się jeszcze minutę później, gdy rozdzwonił się telefon. Odebrała go z bijącym sercem i z rwącym się oddechem.

- Halo?

- Doktor Donovan?

To nie był głos Jacksona. Febe zwalczyła rozczarowanie.

- Tak, to ja.

- Tu izba przyjęć. Czy Christopher Barnett jest pani pacjentem?

Chłód pełził po jej plecach.

- Chris Barnett uczestniczy w moich zajęciach terapii grupowej - odpowiedziała, przywołując obraz chudego młodzieńca o zapadłych oczach, który przychodził, ale rzadko udzielał się na sesjach terapeutycznych dla nastolatków z uzależnieniami.

- Mamy tu chłopaka o tym nazwisku, który zamknął się w jednej z sal na parterze. Ma skalpel i grozi, że użyje go na sobie. Domaga się widzenia z panią.

- Ależ proszę pani!

- Nie „proszę pani” - Febe warknęła na łysiejącego, postawnego ochroniarza blokującego jej drogę. - Jestem lekarzem. Lekarzem, którego właśnie potrzebuje pacjent, siedzący za tymi drzwiami.

- Ten pacjent ma nóż, proszę pa... eee, pani doktor.

- Nikomu nim nie groził, prawda?

- No, nie. Ale grozi, że...

- Że użyje go na sobie. Tak, wiem. Właśnie dlatego domagam się, żeby natychmiast mnie pan tam wpuścił.

- Nie sądzę...

- Niech pan nie sądzi, tylko pozwoli mi wykonywać moją pracę! Strażnik wahał się jeszcze, ale ustąpił.

- Jeżeli cokolwiek się stanie...

- Niech się pan nie martwi, nie zaskarżę pana.

Chris Barnett skulił się w najdalszym kącie. Uniósł głowę, jak tylko Febe otworzyła drzwi. Prawa dłoń wystrzeliła do przodu, spomiędzy zaciśniętych do białości knykci wystawał lśniący skalpel.

- Cześć, Chris - powiedziała Febe miękko. - To ja, doktor Donovan.

- Tylko pani! - krzyknął chłopak, usiłując wcisnąć się jeszcze bardziej w kąt. - Nikt więcej!

- Dobrze - zgodziła się Febe, wchodząc dalej. - Tylko ja. Nikt więcej. - Drzwi zamknęły się za nią. - Słyszałam, że chciałeś ze mną porozmawiać.

Oczy nastolatka były rozbiegane. Źrenice miał nienaturalnie rozszerzone. Niezdrowy pot świecił na pryszczatym czole i policzkach.

- Chciałem... chciałem zadzwonić na telefon zaufania - powiedział, zniekształcając lekko słowa. - Ale zapomniałem numeru.

- Zdarza się, Chris.

Zadrżał nagle, podciągając kolana i chowając ręce.

- Jest pani na mnie wściekła?

- Za to, że zapomniałeś numeru telefonu? Oczywiście, że nie.

- Tamci ludzie... tamci ludzie, tam - wskazał głową na drzwi.

- Oni też nie są na ciebie wściekli.

- Byli! Chcieli mnie skrzywdzić!

- Dlatego pomyślałeś, że będzie ci potrzebny skalpel? Chris zerknął na trzymany w dłoni przedmiot, potem na Febe.

- Nie... nie pamiętam.

- Wszystko jest w porządku, Chris - zapewniła go szybko, starając się mówić bardzo spokojnie. - Czy pamiętasz, o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

Młodzieniec zamrugął gwałtownie powiekami kilka razy. Wstrząsnął nim kolejny dreszcz. Po chwili wstał.

- Ja... ja wziąłem trochę pigułek... Obiecałem, że nie będę... ale wziąłem.

- Pigułek? - Febe starała się powstrzymać głos od drżenia. - Czy wiesz, jakich pigułek?

Potrząsnął głową, chwiejąc się na nogach.

- Białe, chyba. Albo niebieskie. Nie pamiętam... - wykrzywił twarz, z oczu puściły się łzy. - Jest pani na mnie wściekła? Jest pani?

- Nie. Nie jestem wściekła. Owszem, wziąłeś pigułki i to niedobrze dla ciebie. Ale miałeś dość rozsądku, żeby przyjść tu po pomoc. Czy tak właśnie było, Chris?

- T-tak. - Otarł nos wierzchem dłoni. - Chyba... chyba tak.

- Wiem, że tak - umilkła na chwilę, przyglądając się chłopcu, przebiegając w myślach objawy użycia różnych nielegalnych substancji. - Posłuchaj, teraz podejść trochę bliżej, dobrze?

- Nie za blisko!

- Nie, nie za blisko - postąpiła o krok, potem jeszcze jeden. - Dobrze?

- Dobrze.

- Świetnie. A teraz może ty podszedłbyś trochę do mnie? Tylko dwa kroki, Chris. Dobrze? O, właśnie. Najpierw prawa noga, potem lewa noga. Wspaniale. A teraz wyciągnę rękę, żebyś mógł oddać mi skalpel.

Gwałtownie potrząsnął głową.

- Już go nie potrzebujesz, Chris. Nikt nie jest na ciebie wściekły. Wszyscy chcą ci pomóc. Ja nie chcę ci odebrać skalpela. Ja proszę, żebyś mi go sam oddał.

- Nie zabierze... nie zabierze mi go pani?

- Nie zabiorę - Febe wyciągnęła rękę. - Proszę cię, Chris. Daj mi skalpel.

Po chwili wahania nastolatek posłuchał prośby. Oddał jej skalpel. Ostrzem do przodu, rozcinając jej ciało od nasady palca wskazującego aż do nadgarstka.

Rana nie była zadana celowo. Febe postawiłaby na to całą swoją zawodową reputację. W istocie, grymas przerażenia na twarzy Chrisa był prawdziwy.

- Ja...j-ja n-nie ch-ciałem... - zaczął piskliwie, cofając się. - Doktor Donovan, ja n-nie... Na pomoc! Niech ktoś przyjdzie i nam pomoże!

- W... w porządku, Chris - powiedziała przyciskając krwawiącą dłoń do piersi. Bolało. Bolało jak diabli. Zakręciło jej się w głowie, obraz zamazał się przed oczami. Usłyszała, jak drzwi otwierają się gwałtownie.

- Przepraszam! - krzyknął chłopak. - Przepraszam!

Kontrolowany chaos. Niemal taneczne zamieszanie.

Po raz drugi w życiu doktor Febe Irene Donovan osunęła się zemdlna na ziemię.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Febe?

To głos Jacksona. Poznałaby go wszędzie.

- Febe...

Jego głos był taki tkliwy! A potem dotyk. Dotyk Jacksona. Och, jaki czuły. To musiał być sen.

Ale jeśli to sen, to dlaczego ją tak boli? Dlaczego łupie pod czaszką, a w głowie pulsuje tępy ból? Czy sny nie powinny raczej być...

- Otwórz oczy, Febe. Zrób to dla mnie.

Uczyniła, o co prosił. Przez kilka sekund wszystko wokół było zamazane. A potem bezkształtne plamy ułożyły się w wyrazistą twarz ukochanego mężczyzny. Pochylał się nad nią i uśmiechał się.

- Jackson - wyszeptała.

- Hej, kochanie - pozdrowił ją, gładząc po policzku opuszkami palców. - Myślałem, że to ja z nas dwojga mam bardziej niebezpieczną pracę.

Febe roześmiała się słabo i skrzywiła, gdy nasiliło się łomotanie w skroniach.

- Moja... moja głowa....

- Spokojnie - Jackson głaskał ją po twarzy - uderzyłaś się głową o róg stołu, gdy zemdlałaś.

- Kiedy... co? - i nagle powróciła jej pamięć. Spróbowała się podnieść. - Chris...

- Nie ma mowy! - Jackson przytrzymał ją w pozycji leżącej. - Dzieciakowi nic nie jest. Przepłukali mu żołądek. Cokolwiek łyknął, nie zdążyło mu wiele zaszkodzić.

- Dzięki Bogu! - Febe przesunęła językiem po wargach. Były suche i popękane.

- Proszę, kochanie - Jackson przysunął jej do ust plastikowy kubeczek. Siorbnęła. Lodowata woda nigdy jej jeszcze tak nie smakowała. Spłynęła w dół przełyku jak płynne błogosławieństwo. Kiedy skończyła, Jackson zabrał kubek i raz jeszcze pogładził jej policzek. Wyraz niebieskich oczu zniewalał ją, osłabiał w sposób, który nie miał nic wspólnego z odniesioną wcześniej raną.

- Co ty... Co ty tutaj robisz? - spytała, podnosząc rękę i przesuwając palcami po linii jego szczęki. Jackson przechylił głowę i pocałował wewnątrz jej dłoni. Przytrzymał jej dłoń.

- Poza tym, że umieram ze strachu?

- Bałeś się o mnie?

- Och, Febe! - Potrząsnął głową, oczy mu się zamglily. - Kiedy wszedłem do tej sali i zobaczyłem ciebie...

- Ale dlaczego przyjechałeś do szpitala? Jackson delikatnie ścisnął ją za rękę.

- Przyjechałem, bo odebrałem twoją wiadomość. Całe powietrze z jej płuc uciekło ze świstem.

- Och! - udało jej się powiedzieć. Uśmiechnął się.

- Ja też cię kocham, skarbie. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić.

- Na-naprawdę?

- Bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale zanim mi odpowiesz, muszę ci powiedzieć, że nie jestem tym samym człowiekiem, który oświadczył ci się cztery dni temu.

- Jak to?

- Mam nadzieję, iż uznasz, że jestem lepszy. Zaczniemy od tego, że mam widoki na awans. I dostaję nowy przydział. Do akademii pożarniczej.

Ignorując ból, Febe potrząsnęła głową.

- Nie. Nie możesz... Nie chcę, żebyś robił to dla mnie... Ujął jej twarz w dłonie.

- Nie tylko dla ciebie, kochanie. Robię to dla nas. Dla naszej wspólnej przyszłości. - Usta wygięły mu się w czułym uśmiechu. - I dla Lauralee.

Wpatrzyła się w jego oczy i wyczytała w nich samą prawdę.

- Jesteś pewny?

- Jestem tego pewien tak samo, jak moich uczuć wobec ciebie.

- Och, Jackson.

- Czy wyjdiesz za mnie, Febe? Wyjdiesz?

- Tak! O, tak...

Doktor Febe Irene Donovan i czekający na awans na kapitana Jackson Stuart Miller pobrali się dwa tygodnie później. Ponieważ drużba, funkcjonariusz Ralph „Szafa” Randall, wciąż był przykuty do łóżka, ceremonia odbyła się w pokoju szpitalnym. Panna młoda miała dwie druhny. Keezia Carew pełniła swoje obowiązki z charakterystyczną werwą i skutecznością, ale ewidentnie skupiała całą uwagę na drużbie. Lauralee Miller była śliczną druhną, ale jej nowa macocha podejrzewała, że rozmarzony blask w tych słodkich oczach miał coś wspólnego z tym, że Tomek Purdy znalazł wreszcie odwagę na coś więcej niż głucho telefony.

Panna młoda postanowiła dowiadywać się dopiero po miesiącu miodowym, jak ojciec Lauralee zareaguje na taki rozwój sytuacji.

Jednym z nielicznych gości zaproszonych na tę skromną, lecz radosną uroczystość, była matka pana młodego. Louisa Miller dała ich związkowi zapewne szczere błogosławieństwo, ale nie udzieliła żadnych porad na temat bycia żoną strażaka. Zresztą nikt jej o rady nie prosił.

Na końcu uroczystości nowożeńcy pocałowali się. Raz na wezwanie pastora. Drugi raz z własnej inicjatywy.

W czasie tego pocałunku rozjarzyła się odwieczna iskra i zrodziła płomień, który zapłonął jasno i czysto. Ten płomień to była prawdziwa miłość, potężniejsza niż jakikolwiek strach.